



Antoni Lange

Miranda

Antoni Lange

Miranda



Fundacja Festina Lente

I

W samym początku roku 1919 wrócił Jan Podobłoczny z dalekiej a niedobrowolnej podróży przez morza i lądy. Zebraliśmy się na jego powitanie u naszych wspólnych znajomych, państwa W., gdzie też zatrzymała się żona p. Jana oraz jego dwoje dzieci, które przybyły z matką ze wsi, spod Nowego Dworu.

Oczywiście byliśmy ciekawi, co przeżył i co widział Jan Podobłoczny przez te cztery lata, gdyż wyjechał w roku 1915.

– Dawno nie byłem – zaczął Jan – w gronie osób tak miłych i bliskich, i dawno nie miałem tak serdecznej okazji do zwierzeń i wspomnień. Przebaczyście mi więc, jeżeli, wzruszony waszą życzliwością, będę może nawet za gadatliwy i nadużyję waszego zaciekawienia. Ale istotnie tak nadzwyczajne rzeczy spotkałem w podróży, że nie będę w stanie powstrzymać się, gdy mi wspomnienia tłoczyć się będą jedno na drugie.

Od roku 1915 nagle zaczęły mnie ścigać nieszczęścia: ale zaczynam wierzyć, że wszelkie cierpienie ukrywa w sobie tajemnicę jakiejś przyszłej nagrody. Jakoż za te przykrości, co mnie spotkały, zostałem sownie wynagrodzony.

Początek moich nieszczęść jest bardzo banalny: w kwietniu 1915 roku siedziałem w kawiarni z pewnym znajomym i *najspokojniej* mówiliśmy o zdarzeniach ówczesnych. Umyślnie podkreślam że mówiliśmy *najspokojniej*, gdyż żadnej namiętności ani we mnie, ani w

nim nie było. Prowadziliśmy spór: on dowodził, że Rosja wygra; ja zaś – że przegra.

Wykazywałem, że nie ma absolutnie nadziei, aby Rosja mogła mieć jakikolwiek sukces; dowodziłem matematycznie przez *a* plus *b*.

I otóż moja algebra nie podobała się jakiemuś sąsiadowi, na którego nie zwracałem uwagi.

Ten, widać dobrze zorientowany, sąsiad nagle wyszedł, ale wkrótce powrócił w towarzystwie żandarma i, wskazując moją osobę, oświadczył, że ja wygłaszałem opinie szkodliwe dla armii rosyjskiej i dla państwa, że jestem „porażeniec”, że wróżę pogrom Rosji itd.

Żandarm, wysłuchawszy tego wszystkiego, z wyszukaną grzecznością rzekł mi:

– *Pożałujcie.*

Cóż miałem robić? *Pożałowałem.* Słowem aresztowano mnie, a wkrótce potem znalazłem się w wagonie i jechałem w niewiadomym kierunku – na północo-wschód. Jakoż zostałem wysłany do Irkucka, a potem nad jezioro Bajkał, do miejscowości Li-cza-cheń.

Zarówno w więzieniu, jak i w drodze interesował mnie nie tyle mój własny los, ile jedna sprawa, którą się jak najżywiej zajmowałem w czasie, gdy cały świat był opętany wojną.

Z przyczyny wady w płucach zostałem uznany za niezdatnego do służby wojskowej i mogłem się oddać innym sprawom. Co do mojej rodziny, to wiedziałem, że jej byt jest zabezpieczony i że nic złego jej nie zagraża.

Jedyna sprawa, której, jadąc na wygnanie, żałowałem najwięcej, była to Miranda, osoba tak niepospolita, że drugiej istoty *ludzkiej* – takiej jak ona – spotkać mi się nie zdarzyło.

Pisałem do niej raz jeden, natychmiast po przyjeździe do Li-cza-cheń i po siedmiu tygodniach otrzymałem

odpowieź z Warszawy; ale potem już wiadomości od niej nie miałem. Da się to łatwo wytłumaczyć, gdyż w owym czasie Warszawę zajęli już Niemcy i oczywiście komunikacja listowa między Rosją a Europą centralną została przerwana.

Po powrocie pierwszą sprawą, jaką się zająłem, było poszukiwanie Mirandy: w Warszawie jej nie ma, o czym się dowiedziałem, jak to wam opowiem niezadługo, ale zacząłem starania, by ją odnaleźć w Niemczech albo Anglii. Ponieważ Miranda (właściwe nazwisko: Ketty Douglas) była z pochodzenia Szkotką. Niemcy ją zaaresztowali i gdzieś zesłali do Niemiec na pobyt jako obywatelkę z państw nieprzyjacielskich.

Niewątpliwie wśród obecnych tutaj niejeden, jeżeli nie znał osobiście Mirandy, to słyszał o niej; zapewne też i wielu Niemcom była ona znaną i być może próbowali z nią robić doświadczenia, choć, o ile sędzę, w warunkach nienawiści, jaką dyszeli wówczas – żadne eksperymenty udać się im nie mogły.

Miranda było to medium tak niepospolite, że historia naszych badań psychofizycznych zna ledwie kilka osobników tego rodzaju.

Mianowicie w jej obecności rozwijała się najdoskonalsza, jaką można sobie wyobrazić, materializacja ciała astralnego w postać ludzką. Można powiedzieć, że była to ta sama Miranda, tylko jakby w edycji ulepszonej. Miranda była nieładna, jej astral wprost cudowny.

Widmo przybierało formy tak cieleśnie skondensowane, że czuleś bicie jej serca, uderzenia pulsów, tętnienie krwi. Temperatura ciała wizji była niższa od ludzkiej, ale bardzo wysoka. Płynął też od niej dziwny zapach: jakby mieszanina woni fiołków i wilgotnej ziemi.

Ale to wszystko jest rzeczą drugorzędną; najważniejszą jest sprawa taka: od dawna już zajmując się mediumizmem,

stworzyłem sobie teorię, do której zresztą samoistnie doszedł badacz węgierski Taratori, że mianowicie *materializacja widma odbywa się kosztem dematerializacji medium*.

Dematerializacja medium może być minimalna – i wtedy widmo właściwie się nie ukazuje; ale w miarę wyższej dematerializacji medium – materializacja widma staje się coraz wyrazistsza. Są to wypadki bardzo nieczęste, ale właśnie doświadczenia moje z Mirandą w znakomity sposób stwierdzały tę hipotezę.

Widmo (które nosiło imię *Lenora*) nie zawsze bywało równie całkowite. Czasami ledwie widoczne; czasami jednak pełne, precyzyjnie wykończone, od stóp do głów. I trwałość zjawy bywała niejednakowa: czasami po paru minutach znikwała, czasami krążyła wśród nas ćwierć godziny z górą.

Owóż, o ile Lenora była doskonale zmaterializowana, o tyle u Mirandy dawało się zauważyć zjawisko tego rodzaju, że znikwały jej nogi lub ręce, albo inna część ciała (wyjąwszy głowy i tułowia). Znikwały: po prostu na miejscu rąk czy nóg zjawiała się próżnia; suknia opadała, jakby żadne ciało się pod nią nie ukrywało, co istotnie zostało dokładnie stwierdzone. Z chwilą, gdy widmo się rozpływało, nogi Mirandy, że tak powiem, wracały na swoje miejsce.

Niestety jednak takie pełne i długotrwałe materializacje Lenory były dla Mirandy sprawą bolesną – i po każdym takim doświadczeniu – musiała długo odpoczywać, czasem po parę miesięcy. Po prostu mówiąc Lenora zabierała znaczną część *witalu*, czyli elementu życiowego Mirandy – i niejako skracala jej życie.

Na dwa miesiące przed moim aresztowaniem mieliśmy zjawę wyjątkowo doskonałą. Lenora *mówiła*; powiedziała tylko te słowa: „Jeszcze nie teraz”. Co prawda, nikt nie rozumiał, do czego to się może stosować, ale rzecz najważniejsza, że głos jej słyszeliśmy, głos wcale różny od

głosu Mirandy. Po czym uderzyła kilka razy w struny gitary, która była w pokoju – i zagrała kilka tonów bardzo pięknej melodii.

Była odziana białą szatą z nieokreślonej materii; kawałek szarfy, którą była przepasana, obciąłem, za jej pozwoleniem (uśmiechnęła się i kiwnęła głową), nożyczkami i zachowałem to sobie; zostawiłem ten skarb w Warszawie, ale gdzie jest w chwili obecnej – nie wiem dokładnie.

Miranda miała silne poty i kilka razy żądała wody do picia; pani Z. i pani T. pospieszyły ku niej i przekonały się, że Miranda nie ma ani rąk, ani nóg – i zaledwie trzyma się na krześle. Wyraz strasznego cierpienia był na jej twarzy: widmo krążyło między nami blisko dwadzieścia minut. Medium zaczęło naraz bardzo ciężko dyszeć i zawołało:

– Ratunku! Ginę – umieram!

Jednocześnie Lenora zniknęła. Medium się uspokoiło. Nogi i ręce ukazały się na nowo. Zapaliliśmy mocne światło: medium siedziało blade jak trup. Miranda – po tym seansie – była bardzo wycieńczona – i przeczuwałem, że będzie musiała dwa-trzy miesiące odpoczywać. Właśnie mijał już drugi miesiąc i Miranda nabierała sił i zdrowia.

Gotowałem się do nowego seansu: tym razem, wyznaję, miałem pomysł szatański. Chciałem dematerializację medium doprowadzić do ostateczności, a widmo Lenory utrwalić na czas dłuższy: przynajmniej na sześć godzin!

Co będzie wówczas? Czym się stanie medium? Czy zniknie zupełnie, czy też jakaś jego część zostanie! A jeżeli medium zniknie – czy powróci na ziemię, czy nie powróci? Czy serce Mirandy tę przemianę wytrzyma? Jak będzie wyglądało trwanie Lenory? Jak się astral będzie zachowywać? itd.

Były to problemy, które rozważałem sam ze sobą, gdyż tej tajemnicy nikomu nie chciałem powierzyć. Jedyny

człowiek, któremu bym ośmielił się ten plan odsłonić, był to Paracels Nirwid, nasz kolega, którego znaleźcie prawie wszyscy.

Człowiek ten doszedł być może do ostatecznej granicy naszej wiedzy o naturze i materii; do granicy, gdzie się Byt przelewa w Niebyt i *vice versa*. Odkrył on zasadniczy pierwiastek, z którego całe istnienie się składa – i nazwał go Nirwidium.

Dziwne to ciało niczym innym właściwie nie jest, jeno punktem bezwymiarowym, czymś zupełnie bezcielesnym i niematerialnym: atom doprowadzony do swej ostatecznej i rzeczywistej niepodzielności. Jest to owa Nicość pierwotna, z której Bóg stworzył świat. Nauka – jak wiemy – nie przyjęła na razie teorii Nirwida i przeczy istnieniu Nirwidium, ale ściśle biorąc, jest na drodze ku jej uznaniu.

Na nieszczęście Nirwid w roku 1912 tragiczną śmiercią zginął w Paryżu, jako ofiara swych badań naukowych. Nie mogłem mu więc o tym powiedzieć i nie mówiłbym o tym wcale, gdyby nie to, że w podróży swojej natrafiłem na kraj, gdzie Nirwidium jest znane – zarówno teoretycznie, jak i praktycznie.

Również i Mirandzie nic nie mówiłem, gdyż zapewne na ten eksperyment nigdy by się nie zgodziła, a trzeba dodać, że nasze medium było zawsze przytomne i nie wpadało nigdy w katalepsję.

Tak więc sam w sobie gryzłem tę tajemnicę, gdy oto naraz znalazłem się w Li-cza-cheń nad jeziorem Bajkalskim lub jak miejscowa ludność mówi: Dalaj-Nor (święte morze).

Li-cza-cheń leży nad Irkutem w miejscu, gdzie ta rzeka wpada do Bajkału; leży u stóp wysokich, 1000–2000 metrów liczących gór Chamar-Dabon, porośniętych jodłą i świerkiem.

W jeziorze są foki, a nadto liczne gatunki ryb, jak przeważnie: jesiotry, łososie i sumy; liczne też napotyka się ptactwo, jak mewy, czajki, dzikie kaczki, żurawie, rybitwy itd.

Przyjechałem tam w maju, kiedy się zaczynało lato i było bardzo gorąco. We wrześniu zaczęły się mrozy, a w listopadzie i rzeka, i jezioro pokryły się lodem. Sprawilem sobie dobre futro niedźwiedzie i zauważyłem, że zima tutejsza, mroźna, ale równa i jednostajna, ma dla mnie skutki dobroczynne.

Istotnie, gdy nadeszła wiosna 1916 roku, wszystkie moje cierpienia płucne gdzieś pierzchły: przeciwnie, miałem oddech pełny i szeroki – i tu dopiero zacząłem rozumieć, jak ważną funkcją naszego życia jest oddychanie.

Sztuki oddychania nauczył mnie mój gospodarz, u którego władza wyznaczyła mi kwaterę.

Li-cza-cheń jest to raczej wieś niż miasteczko. Mieszkańcy są pochodzenia mongolskiego, wyznają wiarę buddyjską podług nauki Lamy tybetańskiego i ogólnie zowią ich „Lamaici”.

Jednakże z dawnej wiary pogańskiej pozostało w ich obyczajach niejedno, jak na przykład łączność urzędu kapłańskiego z czarnoksięstwem; przy czym talent czarnoksięski rozwija się tu również pod wpływem nauki jogów indyjskich, która wprowadziła do ich praktyk pewne metody psychiczne, dawnym szamanom nieznanne.

Mój gospodarz był właśnie arcykapłanem naszego osiedla.

Wyznać muszę, że rzadko się napotyka ludzi tak zacnych i czystych, tak bezinteresownych i życzliwych jak moi Lamaici z Li-cza-cheń.

Są to zresztą ludzie prości i nieoświeceni. Ich pojęcia o budowie państwa i polityce są arcy naiwne. Panowanie Mikołaja II uważają za bardzo nieszczęśliwe. Cesarz źle

rządzi i dlatego krowy mało mleka dają. Przez parę lat ostatnich susza wypaliła trawę na pastwiskach i krowy miały nie dość pożywienia. Zarówno tę suszę, jak i brak mleka Lamaici przypisywali złym rządóm cesarza Mikołaja.

O wojnie wiedzieli, ale mało ich obchodziła: była tak daleko! Gazet nie czytawali; od czasu do czasu tylko jakieś wieści dopływały do nas. Głównie interesują ich krowy, rybołówstwo, a także polowanie na ptaki, lisy, niedźwiedzie. Chaty budują z drzewa i gaolanu; sadzą żyto i jęczmień, które tu się nieźle udają. Mają stare pieśni o bogach i bohaterach, a nadto kapłanów, którzy umieją robić cuda.

Mój gospodarz – człowiek bardzo czcigodny – był, jak mówiliśmy, kapłanem, a zarazem przechowywał tradycje dawnych szamanów-czarowników. Był on sędzią w sprawach kryminalnych, dawał śluby, błogosławił nowo narodzonych, grzebał umarłych. Przepowiadał przyszłość, wywoływał deszcze, odpędzał burze i pioruny, odnajdywał zaginione krowy albo rzeczy ukradzione; wypędzał diabła z opętanych, leczył choroby podług systemu lekarzy tybetańskich, zwanego żud-szi. Wywoływał umarłych i rozmawiał za ich pośrednictwem z najwyższym Buddą.

Była to bardzo poważna władza moralna i społeczna w naszej miejscowości i nawet przedstawiciele rządu rosyjskiego z nim się liczyli, a niższe stopnie nawet porady u niego szukały.

Z gospodarzem moim zaprzyjaźniłem się wielce i nieraz gadaliśmy o zjawach, jakie on widywał lub wywoływał. Szaman dziwił się, skąd ja znam jego tajemnice i uważał mnie za wielkiego czarownika.

W istocie sztuka mediumiczna była po wszystkie czasy i we wszystkich krajach jedna i ta sama – i stąd jest wielkie podobieństwo procedury i zjawisk. Europa tylko zarzuciła tę

sztukę, gdyż inną poszła drogą, ale teraz i ona do niej powraca – przy tym z zasobem większym wiedzy pozytywnej.

Przeglądając się praktykom szamana przekonałem się, że jest on naraz i magnetyzerem, i medium: na tym polega jego siła.

Szaman nie był wcale zazdrosny, kiedy ludność zwracała się do mnie w różnych sprawach; młodzi mówili mi o swoich troskach miłosnych, kobiety żądały zaklęć na choroby lub poprawę gospodarstwa. Szaman sam chętnie słuchał moich wskazań – podobnie jak ja chciałem skorzystać z jego doświadczenia.

Mnie głównie zastanawiał problemat, czy u mego szamana w czasie transu przy materializacji widma odbywa się dematerializacja ciała, jak to było u Mirandy. Oczywiście nic mu o tym nie mówiłem, ale rzecz obserwowałem.

Szaman dla swoich czarów wprowadzał się sam w stan katalepsji; jego pomocnik, przyszły szaman, miał obowiązek budzić go po pewnym czasie, choć mój gospodarz mógł też sam sobie nakazać, że się obudzi o takiej a takiej godzinie; czynił to jednak dla nauki i ćwiczenia swego następnego. Czasem ja zastępowałem pomocnika.

W czasie katalepsji szamana ukazywało się widmo, które przemawiało językiem mongolskim, bardzo mało mi znanym, tak że nic go nie rozumiałem. Kilka razy, jakby z ogromnym trudem, duch mówił po polsku. Powiedział mi raz: „Warszawę zajęli Niemcy.” Innym razem mi powiedział: „Mirandę wywieźli (Niemcy) do Mmmburga.” Nazwę miasta wybełkotał niewyraźnie.

Owóż u mego szamana dematerializacja odbywała się, ale w stopniu bardzo nieznacznym. Mianowicie jego ręce i nogi stawały się nieco szczuplejsze niż w stanie normalnym, ale nie znikwały, jak u Mirandy.

Byłoby rzeczą nader cenną zważyć ciężar szamana w czasie jawy i w czasie transu, ale niestety nie miałem odpowiedniej wagi.

Choć zagadnienie moje było bardzo nęcące, krepowałem się jednak robić ten eksperyment, gdyż, o ile by ten stary szaman zniknął i dajmy na to nie powrócił – to mógłbym łącno uchodzić za jego zabójcę i wywołać niezadowolenie lub zemstę gościnnych i dobrych ludzi, wśród których losy kazały mi zamieszkać.

II

Pewnego dnia w czerwcu roku 1917 przyszedł do mnie miejscowy *uradnik* i powiedział mi, że cesarz Mikołaj został pozbawiony tronu, że w Rosji jest rewolucja, że teraz jest wolność i republika – i zacznie się raj na ziemi; że wszystkie pieniądze z *kazny* zabrali i rozdają ludowi i że wszyscy będą bogaci.

Pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy na wieść o tych wszystkich przewrotach, była taka, żeby natychmiast opuścić granicę tego nowego rajy ziemskiego – i przedostać się gdzie bądź do innych krain.

Istotnie wszelkie władze zmiękły i osłabły zupełnie; po prostu przestały być czynne.

Pożegnałem swoich gospodarzy i całą ludność wioski Li-cza-cheń, a mogę bez przechwałek powiedzieć, że mnie żegnano ze łzami w oczach; wynająłem następnie czółna – i brzegiem Bajkału wyruszyłem na południe, a później znów nieco na północ, do zatoki Prowalskiej i ujścia rzeki Sekengi; rzeką dotarłem do Kiachty, a potem do Urgi.

W ten sposób znalazłem się w granicach Republiki Chińskiej. Jakiś czas przesiedziałem w Chinach, skąd wyjechałem do Japonii.

Cel mój był ten, by siaść na jakiś okręt angielski lub inny i tą czy ową drogą dotrzeć do Europy, by zamieszkać w Szwajcarii, albo w innym państwie neutralnym.

Świat chiński i japoński bardzo mnie zaciekał i, gdybym nie był tak żądny powrotu do Europy, chętnie bym

oddał się badaniu tutejszych stosunków. Widziałem tam dużo rzeczy godnych uwagi, ale po większej części są one powszechnie znane, gdyż wielu podróżnych dziwy te opisywało.

Innym razem opowiem wam szczegóły mego pobytu w państwie Niebieskim i w krainie Wschodzącego Słońca, tu wspomnę jedynie o małej wycieczce, którą, będąc w Japonii, uczyniłem w towarzystwie kilku innych cudzoziemców na wyspę Rakaszimę.

Z Jokohamy, gdzie jakiś czas przepędziłem, przenieśliem się do Hakodate, głównego portu wyspy Jezu, gdyż mówiono mi, że w najbliższym czasie odjeżdża stąd okręt angielski do Indii.

W odległości najwyżej dwunastu kilometrów od Hakodate leży niewielka wyspa Rakaszima, zewnątrznie niczym szczególnym ona się nie odznacza, ale ma jakąś niezbadaną dotychczas tajemnicę czy to gleby, czy klimatu, która sprawia, że ludzie urodzeni na tej wyspie żyją odwiecznie i nigdy nie umierają. Po prostu nie są w stanie obliczyć, ile lat przeżyli na świecie.

Jest ich na wyspie koło tysiąca osób, mężczyzn i kobiet. Dawniej było ich więcej, ale ci, którzy się przenieśli na ląd albo na sąsiednie wyspy – rychło umierali.

Pozostałych instynkt samozachowawczy powstrzymuje od wyjazdu i za nic w świecie Rakaszimy opuścić nie chcą. Trafiają się zresztą osobniki znudzone tym jednostajnym odwiecznym istnieniem; osobniki spragnione końca – i ci czasami wyjeżdżają do Hakodate lub gdzie indziej, przeczuwając, że znajdą tam rychły odpoczynek w grobie.

Ludność przedstawia typ mieszany: są małego wzrostu, jak Japończycy, ale krepni, jak Ainosy i jak oni, mają ciemną cerę i wielkie brody, najczęściej szpakowate, a czasami prawie białe.

Ci ludzie nieśmiertelni wyglądają na osoby lat 50–55 i już tej formy nigdy nie zmieniają: jest to niby edycja *ne varietur*.

Żyją sobie spokojnie z połowu ryb, pereł, z wyrobu szkatulek, lalek, zabawek, które toczą z drzewa, laki, muszelek, tkaniny.

Rolnictwa nie uprawiają, gdyż chleb i ryż dostają od sąsiadów za swoje towary, natomiast hodują kozy i owce, których mlekiem i serem się żywią.

Przypuszczałem, że ludzie, którzy tyle nieskończonych lat żyją na ziemi, muszą mieć nadzwyczajne wspomnienia, doświadczenie bogate, mądrość niezgłębioną.

Niestety – zarówno ja, jak i moi towarzysze rozczarowaliśmy się boleśnie. Czas przestał dla tych ludzi istnieć; wskutek nieustannego ich trwania czas stał się dla nich kategorią zgoła niewyczuwalną; żyli poza czasem. Nie istniało dla nich ani wczoraj, ani jutro. Zaledwie jak przez mgłę pamiętają dzień poprzedni: nie wiedzą o niczym, ani co do siebie, ani co do swojego rodowodu, bytu, stanowiska. Roboty swoje wykonywają mechanicznie, jakby cudzą ręką. Zatracili wszelką ciekawość, wszelkie pożądanie, wszelką namiętność.

Robią wrażenie ludzi niemłodych, ale rześkich i zdrowych: o ile ktoś zachoruje, w ciągu dwóch-trzech godzin wraca do zdrowia sam przez się. Pomimo tę rześkość, pozbawieni są wyobraźni, zdolności do podziwu, uczuć erotycznych.

Nie umierają, ale też nie rodzą się zupełnie. Nie oczekują niczego, nie spodziewają się żadnej przemiany, żadnej przyszłości.

Życie ich jest jednostajne: bez smutku i bez radości, bez cierpień i bez upojeń.

Są jednak niezmiernie do życia przywiązani i o śmierci wiedzą tylko z opowiadań i tych wypadków, gdy jakiś obcy wśród nich zamieszka i umrze.

Rząd japoński mało się nimi zajmuje, ale kilku urzędników zawsze tu przebywa, którzy reprezentują państwo.

Owóz dla tych obcych klimat jest dziwnie szkodliwy i zazwyczaj umierają przedwcześnie.

Nam, którzyśmy tu na dwa dni przybyli, powietrze wydawało się szczególnie duszne i niezdrowo upajające.

Taką jest wyspa Rakaszima i jej mieszkańcy.

Po dwóch dniach wróciliśmy do Hakodate.

Jeden z podróżnych, pastor anglikański, gdyśmy z politowaniem mówili o smutnym losie tych ludzi, zauważył:

– Przekonaliśmy się, że nie umierać, to nie znaczy być nieśmiertelnym. Brak cierpienia jest nieszczęściem nie mniejszym niż samo cierpienie, a kto nie przewiduje śmierci i kresu – tego życie jest pozbawione wszelkiej pobudki do życia. Śmierć jest to wielkie i mądre prawo boskie – i stanowi najkonieczniejszy warunek istotnego życia.

Z Hakodate nazajutrz odpływał niewielki statek angielski „Return”, który jechał na wyspę Cejlon.

Siadłem na ten okręt, przypuszczając, że z Cejlonu prędzej czy później dostanę się gdzieś bliżej Europy.

Pogodę mieliśmy bardzo piękną i byliśmy wszyscy przekonani, że dojedziemy na miejsce szczęśliwie. Istotnie, aż do Singapore losy nam sprzyjały – również bez zdarzenia przepłynęliśmy cieśninę między Wyspami Andamańskimi i Nikobarskimi.

Nie więcej jak sześć do siedmiu stopni równikowych dzieliło nas od Cejlonu, gdy nagle stanęliśmy nad brzegiem zagłady.

Po Morzu Indyjskim krążyły przed paru laty korsarskie okręty niemieckie, które ściśle biorąc, zostały już wszystkie

zniszczone, ale tu i ówdzie pozostawiły one miny podwodne, bardzo niebezpieczne dla pływających statków.

Trafiały się też, choć rzadziej w tych stronach, łodzie podwodne. Ale nie łódź podwodna nas zgubiła, tylko zabłąkana mina.

W pobliżu Cejlonu na taką minę wpadliśmy niespodzianie. Okręt zaczął się chwiać i w wodzie pogrążyć. Byliśmy gotowi na śmierć.

Niewielu nas było: razem z załogą koło sześćdziesięciu osób. Mieliśmy dwie łodzie ratunkowe.

Kapitan nasz na jedną chwilę przytomności nie stracił. Natychmiast kazał łodzie spuścić na wodę – i wszyscy po kolei zaczęli skakać z pomostu do czółen.

Obliczywszy, przekonaliśmy się, że pozostało nas czterdzieści jeden osób; reszta widać utonęła. Podzieliliśmy się na dwie grupy: w jednej łodzi było dwudziestu ludzi, w drugiej dwudziestu i jeden. Ja znalazłem się w tej drugiej.

Wyspa Cejlon była już, niby we mgle, widoczna – i wszystko zapewne dobrze by się skończyło, gdyby nie to, że naraz szaleć zaczęła straszliwa burza.

Łodzie nasze się rozłączyły: jedną fale poniosły na wschód, jakby ku Wyspom Andamańskim, drugą, w której byłem ja – na południo-zachód.

Kołysana wiatrem, wstrząsana bałwanami morskimi – nasza łódź coraz napęniała się wodą – i znów przeczuwaliśmy, że nam śmierć zagraża.

Ale może i to byśmy przetrwali, gdyby nie rafa podwodna, o którą naraz łódź nasza uderzyła i strzaskała się na szczęty. Ostatnia nasza godzina nadeszła.

Znalazłem się na bezgranicznej toni fal bez żadnego oparcia. Nikogo z moich towarzyszków nie mogłem dostrzec ani w pobliżu, ani z dala.

Widocznie oderwało mnie od nich i byłem dość daleko; instynkt kazał mi się uchwycić kawałka strzaskanej łodzi. Byłem na świecie bezwzględnie sam jeden, jak w swoim czasie Odyseusz.

Szczałki naszej łodzi widziałem rozproszone: tu jej boki, tam dno, ówdzie deski pojedyncze, lina, wiosła.

Dopłynąłem do liny i przywiązałem nią siebie do tej części rozbitego czółna, która dotąd była moim oparciem.

Burza już od piętnastu minut ucichła i mogłem to wszystko czynić z pewną swobodą.

Chwyciłem też wiosło – i tak starałem się płynąć w kierunku, który powierzyłem instynktowi. Byłem przekonany, że nie zginę.

Wkrótce też ujrzałem gęsty tuman, który niewątpliwie był wybrzeżem jakiegoś lądu lub wyspy. Sześć lub siedem godzin, aż do wyczerpania, wiosłowałem, by się do tego brzegu dostać.

Na koniec, dzięki składając Bogu, znalazłem się na piaszczystym cyplu nieznanego mi kraju.

Odwiązując się i grzejąc na słońcu przemokłe szaty i przemokłe ciało, patrzałem wokoło, zaciekawiony, co mię tu oczekuje.

Cypel był długi może na ćwierć kilometra, żadną trawą ani krzewami nie porosły; był zupełnie płaski jak i część lądu, którą mogłem dostrzec w dalszym jego ciągu. O drugie ćwierć kilometra zaczynał się grunt podnosić i krajobraz, gęstym lasem porosły, był pagórkowaty, dalej zaś dostrzegłem wcale wysoką górę, mającą do sześciuset metrów wysokości.

Zdaje się, że na szczycie tej góry widniały jakieś zabudowania, ale było zbyt daleko, bym coś mógł twierdzić na pewno.

Byłem zresztą bardzo zmęczony i oczy mi się kleiły; nadto upajał mnie dziwnie zapach hiacyntów, migdałów i kwiatu cytrynowego, zapewne z tych lasów idący.

Osuszywszy nędzne moje łachmany, ubrałem się na nowo i, poszedłszy nieco głębiej w wybrzeże, znużony, usnąłem kamiennym snem człowieka, który w jednym dniu uległ dwa razy rozbiciu okrętu i łodzi.

III

Kiedym się obudził, nawiasem mówiąc, przerażająco głodny – ujrzałem dokoła siebie kilka postaci ludzkich, zarówno mężczyzn, jak kobiet, których widok wywołał w mojej duszy taki podziw, że mi się przypomnieli ci podróżnicy greccy, co to do obcych krain zajeżdżając, pytali napotykanym mieszkańcom: „Czy jesteście bogowie, czy ludzie?”

Mogą na innych gdzieś planetach przebywać istoty o tyle od nas doskonalsze, że w stosunku do nas są jak bogowie. Takimi istotami zdali mi się ci ludzie, którzy mnie otaczali.

Mówili coś między sobą szeptem bardzo śpiewnym, ale tak, że ich prawie nie słyszałem; widać nie chcieli mnie obudzić.

Jeden tylko z tych szeptanych wyrazów dopłynął do mego ucha, gdyż kilka razy go powtarzali. *Ingleza – ingleza* – mówili, jak domyślam się, o mnie, uważając mnie za Anglika.

Postawę mieli szlachetną, wzrost dorodny; piersi naprzód podane, i czy to w nieruchomości, czy w ruchu, odznaczali się wielką elastycznością.

Cera ich była biała, znacznie bielsza od naszej, alabastrowa z odcieniem różowym.

Kobiety miały bujne włosy na głowie, spięte przepaską; mężczyźni zaś byli wygoleni na sposób rzymski. Włosy były różnych odcieni, zarówno ciemne, jak jasne – i podobnież oczy.

Typów znaczna różnorodność tak, że nie było między nimi podobieństwa, choć i różnica niezbyt jaskrawa.

Wszyscy wydawali się w pięknym wieku od 25 do 35 lat – i od ich osoby wiało czarem młodości i wdzięku. Zwłaszcza ich uśmiech i spojrzenie miało w sobie coś tak powabnego, że można by rzec – rozkochałem się w nich wszystkich w jednym momencie.

Kobiety tutejsze, sam nie wiem, do jakiej klasy należące, wydawały mi się tak wytworne, jakby jakieś księżniczki zaklęte albo siostry owej Mimosy Shelleya, co wśród kwiatów kroczyła po ogrodzie uśmiechnięta i smętna.

Jedna zwłaszcza, w pięknej szacie różnych odcieni barwy lila, mimo woli budziła w mojej pamięci słowa, którymi Dante uczcił Beatrycze:

*Tanto gentil e tanto onesta pare
La donna mia, quand ella altrui saluta...*

Suknie ich były różnej barwy: lila, purpurowej, zielonej; krojem zaś przypominały szaty greckie, a drobne ich nóżki opierały się na trepkach, przewiązanych rzemieniem.

I mężczyźni nosili jakąś odmianę stroju greckiego, rodzaj chlamid, barwy popielatej, szarej, sinej itd.

Wszyscy mieli na sobie wiele ornamentów złotych: naramienniki, łańcuchy, pierścienie.

Nadto każdy z mężczyzn nosił u boku narzędzie, przypominając krótki miecz z rodzaju tak zwanego *misericordia*.

Niewiasty miały w ręku woreczki, w których zapewne ukrywały się jakieś przedmioty.

Wyznaję, że marzeniem moim było, aby się w tych woreczkach znalazło jakie mięsiwo, trochę chleba, trochę wina.

Choć niezbyt świetnie wyglądałem w swym poplamionym i poszarpanym ubraniu, na widok ich powstałem i zacząłem pokłony im składać, gestami pokazując zarazem, że jestem głodny.

Ponieważ znalazłem się w krainie, gdzie wiele zjawisk odbywa się zupełnie inaczej niż u nas, nie dziwcie się zatem, że co chwila zaskoczony jakim dziwem – dziwowałem się nieustannie. I teraz właśnie oniemiałem z podziwu.

Słońce w owej chwili stanęło na samym środku nieba: było południe i promienie jakby pionowo spadając na ziemię przepłynęły, rzekłbyś, przez postać nieznaną mi istot – jakby zlały się z nimi w jedność nierozdzieloną; na mgnienie oka ludzie owi rozplłynęli się w promieniach i zniknęli, jakby ich nie było zupełnie.

Sądziłem, że to były zjawy senne. Ale po chwili ujrzałem ich na nowo, a tak się zachowywali, jakby nigdy nic nie zaszło; snadź o tym nic nie wiedzieli; było to wyłącznie moje wrażenie.

Wówczas dopiero zauważyłem niesłychaną subtelność ich ciała: ich jakby zamglawność i przezroczystość; rzecz by można, że ciało ich będąc ciałem, jednocześnie było jakąś zjawą bezcielesną. Wyznaję, że na nowo zacząłem się wahać, myśląc, co to za jedni: może aniołowie?

Jedna z kobiet – owa Beatrycze – otworzyła swój woreczek i wyjęła z niego złote puzderko, z którego podała mi rodzaj kulki rozmiarów nieco większych niż ziarnko kawy.

Aby mi pokazać, co mam czynić, sama wzięła do ust taką kulkę; zaczęła ją ssać tak, jak się ssie tak zwane landrynki.

Naśladowałem ją, uśmiechając się sam do siebie, choć zresztą i moja bogini też się uśmiechała.

Owóż, w miarę ssania, czułem w ustach coraz to inne smaki; tak jakbym kolejno coraz inne pochłaniał potrawy, a

zawsze takie, które w danej chwili były dla mego organizmu konieczne. Były też smaki zupełnie mi nieznane, ale bardzo miłe. Była to cała symfonia smaków.

Sam proces ssania sprawiał mi dziwną rozkosz i, gdy m pastylkę w całości pochłonał, poczułem się syty, rześki i pełen siły.

Zacząłem nowymi pokłonami dziękować tym aniołom, że mnie raczyli nakarmić. Oni zaś, ruchem jakby tanecznym, zbliżyli się do mnie i zaczęli mówić. Mówili zaś czystym sanskrytem, starożytnym językiem Indii, który dziś rozpadł się na różne narzecza, skarłowaciał i zwyrodniał, ale tu na tej wyspie przechował się w swej najszlachetniejszej formie.

Poznałem ten język, gdyż miałem o nim, bardzo słabe zresztą, pojęcie: uczył mnie jego elementów nasz kolega uniwersytecki, Marek Aureliusz Wrzesień, ale umiałem niewiele i zapewne nic bym nie zrozumiał, gdyby nie to, że ich mowa miała jakiś szczególny akcent i melodię tak, że choć była mi obcą, stawała się przejrzystą i tak rozumiałą, jak rozumiałą bywa muzyka.

Kazali mi mówić moim językiem; mimo woli i ja wpadłem w ich akcent i melodię – i, choć mówiłem z nimi po polsku, rzecz prawie nie do wiary: oni mnie doskonale rozumieli. Był to także jeden z dziwów naszej wyspy.

Jak mi to później wytłumaczyli moi wyspiarze, wszystkie języki, choć mają różną postać, zewnętrzną, mają duszę jedną i tę samą. Owóż oni przenikać umieją poza ciało dźwiękowe języka – w jego esencję astralną; własny język umieją też w jego esencji podawać. Dlatego rozumieją wszystkie języki i umieją zrobić swój język zrozumiałym dla wszystkich.

Przekonałem się o tym później, gdy rozmawiał z dziećmi: mówiły one inaczej i nie mogłem się z nimi porozumieć.

Wyjaśniłem im pobieżnie historię mego wygnania, ucieczki z Syberii i wyprawy na okręcie, który wpadł na minę podwodną; wreszcie historię o tym, jakem się znalazł na ich wybrzeżu.

Prosiłem ich o gościnę na krótki czas, gdyż chciałem jechać do Europy, o ile się znajdzie jaki statek angielski. Wyraziłem im swój podziw, wyznałem, że ich uważam za istoty wyższe od ludzi.

Z wielką radością przyjęli moje oświadczenia – i nagle, o dziwo! (ciągle tu muszę wołać: o dziwo!) dwaj mężczyźni, którzy stali przy mnie, unieśli się w powietrze i polecili jak ptaki w stronę gór.

Gdy zdumiony byłem tym zjawiskiem, owa bogini w sukni lila różnych odcieni (miała na w imię Damajanti) powiedziała mi z uśmiechem:

- My tu wszyscy umiemy latać po powietrzu.
- Jakże się to dzieje?
- Taka jest nasza natura.
- Ależ nigdzie na świecie tego nie ma. Nasze samoloty, cóż to za ciężkie maszyny!
- Nie od razuśmy do tego doszli. Ale już z górą od stu lat to znamy, od ostatniej rewolucji.
- Rewolucji? Czyż to wśród aniołów możliwe są rewolucje?
- O, my nie jesteśmy anioły.
- Ale bądź jak bądź istoty wyższe niż ludzie.
- Może tak, a może nie!
- Któż wy jesteście! Jak się nazywa wasz kraj?
- Nazywa się Suriawastu.
- Suriawastu? Gród słońca?
- Tak – i dlatego zwiemy się Solari albo Słońcogrodzianie. Zajmujemy środek tej wyspy. Oprócz naszej Republiki są tu jeszcze dwa państwa, całkiem inaczej

zorganizowane niż Suriawastu. Na Zachodzie siedzą Telury, na Wschodzie – Kalibany.

Kiedy minie tak pouczała Damajanti, dwaj mężczyźni, którzy na skrzydłach polecili, z niedaleka widocznie, wrócili wózkiem bez konia; był to rodzaj samochodu z materii jakby rogowej urobionego.

Wózek ten był mały, na dwie osoby, z jednym siedzeniem i na przodzie miał rodzaj steru. Kazano mi się do tego wózka, a wraz ze mną siadła Beatrycze.

Reszta towarzystwa, uprzejmie pożegnawszy się z nami, poleciała powietrzem ku górze, na której leżała stolica kraju. Mój czarowny woźnica szepnął parę słów do wózka, ujął za ster i ruszyliśmy.

Skoro tylko minęliśmy piaszczysty cypel nadbrzeżny, znaleźliśmy się na płaskowzgórzu coraz to wyżej się wznoszącym.

Były tam wszędzie pięknie uprawne pola ryżowe i pszeniczne, a wśród nich wielkie kwadraty, obsiane kwiatami: już to krzaki różane, hiacynty, tulipany, migdały, cytryny itd.

Szerzyły one po powietrzu upajający zapach, który się mieszał z zapachem żywicy, płynącej z lasów cedrowych.

Zauważyłem, że Damajanti pełną piersią wdycha te zapachy i tak się nimi przenika, że sama wkrótce zapachniała wonią tych aromatów. Wysokie palmy kwitły tu wszędzie po drodze, ale były też dęby, topole, graby i cedry.

Na pastwiskach liczne krowy, owce i kozy.

Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy przez wsie i miasteczka, pełne ludzi nie mniej dostojnie wyglądających jak ci, których ujrzałem po przebudzeniu. Po drodze stały liczne posągi miejscowych bogów, których znaczenie później mi wytłumaczono.

Podziwiałem sprawność mojej Damajanti, jak manewrowała sterem naszego samochodu, który sunął w górę

ze znaczną prędkością – po gościńcach doskonale ubitych, równych i szerokich. Zaznaczyć muszę, że samochód zachowywał się wprost jak istota świadoma – i że bardzo mały był wysiłek mojej przewodniczki; wózek rzekłbyś toczył się sam przez się.

Niezwykle czarującą była moja Słonecznianka i poczułem do niej jakąś niezgłębioną sympatię. Wydawała mi się jakby istotą znajomą. Gdzie, skąd, jakim sposobem? A jednak było w niej coś takiego. I czułem z jej strony coś niby sympatię dla mnie. Jednak tyle mnie zagadek dręczyło, że chciałem przede wszystkim dotrzeć do ich rdzenia.

Jedziemy więc do stolicy: do Suriawastu. Suriawastu to znaczy Gród Słońca. Nazwa ta przypomina *Cittá del Sole*. *Civitas Solis*, którą opisał podróżnik włoski z XVII wieku, Tommaso Campanella.

Była to szczęśliwa kraina, w której się urzeczywistniły wszystkie ideały społeczne, o jakich my dzisiaj zaledwie marzyć śmiemy, jako o utopii.

Campanella za ten opis wyprawy do nieznannej Hesperii został wtrącony do więzienia a dzieła jego spalono przez kata, gdyż była to gorzka krytyka egoizmów świata ówczesnego, a zarazem rząd obawiał się, że gdy się ludność dowie o tej ziemi obiecanej – opuścić gotowa własne wsi i miasta.

Czyżby to była owa *Cittá del Sole*!

Campanella ogłosił dzieje swej wyprawy w połowie wieku XVII, to znaczy z górą trzysta lat temu. Nikt jej później nie odwiedzał.

Ileż zmian mogło zajść od tego czasu? Jak musiał się posunąć rozwój tych ludzi doskonałych!

Sam już widok tych Solarów był czymś tak imponującym, że, choć Europejczyk, czułem się od nich znacznie niższy.

Nie widziałem tu co prawda ani kolei żelaznych, ani kominów fabrycznych, ani wielkich targowisk, ale na każdym kroku widoczną była tak szlachetna kultura, że nasza wydawała mi się przy niej wielce pierwotną.

Wielu rzeczy nie rozumiałem zupełnie: na przykład wszędzie tu po wsiach i po miastach widziałem budynki, które przypominały formą suszarnie zbożowe, pospolite na Białorusi, ale znacznie wyższe i obszerniejsze; przy tym budowane były z tego samego materiału, co nasz samochód.

Nie spotykałem tu nigdzie tego, co się w Europie nazywa „ludem”. Wszystkie napotymane osoby zdawały się należeć do najwytworniejszej klasy.

Po drodze rzadko kiedy trafiali się przechodnie: co najwyżej dzieci, które zresztą niczym się nie różniły od naszych dzieci europejskich: tak samo biegały, latały, skakały, biły się, krzyczały. Zawsze gdzieś obok znajdowała się kobieta, która czuwała nad nimi. O ile byli starsi chłopcy – czuwał nad ich zachowaniem się mężczyzna.

Wielu było latających w tę i ową stronę po powietrzu; niektórzy witali się z sobą, zatrzymywali po drodze, rozmawiając; przy czym, jak ptaki, umieli trwać zawieszeni w powietrzu.

Przyglądając się tym wszystkim rzeczom, wspomniałem, że Campanella wyspę, na której mieści się Słońcogród, zowie Taprobane. Zapytałem swą Beatrycze:

– Gdzie tu leży wyspa Taprobane?

– A no, właśnie to nasza wyspa.

– Kraj wasz jest mało znany, ale trzysta lat temu pewien Włoch, imieniem Campanella, opisał waszą Republikę. Czy znacie to nazwisko?

– Ja go nie znam, ale będzie o tym wiedział albo sam Metafizyka, albo minister Mądrość.

Serce mi bić zaczęło: to się zgadza ze słowami Campanelli.

– Cóż to znaczy!

– Zdaje mi się, że ty coś wiesz o tym wszystkim. Ale ci powiem: w kraju naszym najwyższy naczelnik nosi tytuł Słońce albo Metafizyka, gdyż na zasadach metafizyki kieruje naszym życiem. Pomagają mu trzej ministrowie: Miłość, Mądrość, Potęga – a bacz, że są to trzy główne atrybuty Boga i że ich esencję streszcza Metafizyka czyli Słońce.

– A więc nie ma wątpliwości. To jest Città del Sole Campanelli na wyspie Taprobane.

– Słońce wszystko wie: on ci to wszystko powie.

– Daleko to jeszcze do stolicy?

– Dla nas, co latamy po powietrzu, odległość prawie nie istnieje. Ale dla ciebie, co musisz jechać wózkami, od brzegu do miasta jest dziesięć jodżan (kilometrów). Te wózki są dla naszych dzieci, dla chorych, dla przewozu rzeczy itd., w ogóle, gdy latanie jest niemożliwe. Dzieci nasze latać nie umieją. Podjeżdżamy teraz pod samą górę.

Zaczynał się gościniec ślimakowaty, prowadzący do jakiegoś punktu centralnego. W tej chwili moja towarzysząca wydobyla z woreczka małą flaszkę i rodzaj kielicha, do którego wlała trunek bezbarwny, proponując, abym się napił. Był to nader miły w smaku nektar ognisto-lodowaty, który mnie wzmocnił i doskonale orzeźwił.

– Często tu do was przyjeżdżają ludzie z Zachodu?

– Trafia się, owszem. Ale w ogóle my ich unikamy. Trudno by się nam porozumieć. Mamy i na tej wyspie podobnych.

– Jak to podobnych?

– Telury i Kalibany, są do was podobni. Tak jak Anglicy, ludzie drapieżni.

– Alboż my jesteśmy drapieżni!

– To ci Słońce wyjaśni. Tak o was tu mówią: że wy się mordujecie nawzajem, że walczycie ze sobą o rzeczy nędzne i marne, że zapomnieliście ducha. Jesteście pogrążeni w mroku i niższości. Zmysły macie niedorozwinięte: nie przewyższyliście sami siebie, a namiętność popycha was w stronę piekła. Wreszcie i zewnętrznie się różnimy. My umiemy latać, a wy nie. Wy robicie maszyny, a nam to niepotrzebne. Wszystko czynimy wolą własną. A przy tym jedna rzecz, to...

– To co?

– Proszę się nie obrazić. Wasze ciało ma przykry zapach. Musiałam tyle aromatów się nałykać, że aż cała przesiąkałam wonią kwiatów, aby twój zapach zagłuszyć. Kiedy przyjedziesz do miasta, musimy cię wykapać.

Mimo woli się uśmiechnąłem, a zarazem przykro mi się zrobiło, że tak nieszczególne wrażenie wywieram na tej osobie, którą miałem zamiar traktować jako swą Beatrycze. Mówiła to z nadzwyczajnym wdziękiem i rzeczywiście nie mogłem się obrazić.

Tylko po prostu zbiła mnie z pantałyku... Nasza cywilizacja zupełnie tym Solarom nie imponuje: uważają się za twory doskonalsze. Rzeczywiście subtelność ich ciała znacznie przewyższa naszą, jest to jakby motyl wobec poczwarki.

Tymczasem podjeżdżaliśmy pod miasto, którego mury i kamienice były widoczne.

Ruch na gościńcu był znaczny; samochody podobne do naszego były liczne, niektóre bardzo obszerne. W jednym widziałem blisko czterdziestu chłopców ze starszym, zapewne nauczycielem. Na widok mój zaczęli wołać:

– *Inkleza, inkleza!*

Moja bogini rzekła mi poufnie:

– Musimy cię przebrać po tutejszemu, bo cię będą prześladować dzieci, które u nas mają wielką swobodę.

– Ale – rzekłem – dzieci nie są do was podobne: raczej do nas.

– Bo muszą one przejść przez stan czysto ludzki, zanim się podniosą i wyzwolą z więzów materii.

– Nie bardzo to rozumiem.

– W tych dniach właśnie odbędzie się święto wyzwolenia: mój brat cię zaprowadzi.

W tej chwili z wyżyny powietrznej spłynął ku nam Solar i zatrzymawszy się koło wozu, zawołał:

– Damajanti!

– Wasiszta – bądź pozdrowiony! Oto mój brat – rzekła do mnie. Bracie, zatrzymał się tu u nas Anglik – rozbitek. Musisz go przyjąć w swoim domu.

– Miło mi będzie. Lecę tylko na Pole Marsowe, żeby tam jedną rzecz stwierdzić i za siedem minut będę w domu. Uprzedzę żonę o tym cudzoziemcu, któremu niechaj się szczęści.

Poleciał w swoją stronę, my zaś tymczasem, płynąc wśród wonnych ogrodów podmiejskich, powoli wjeżdżaliśmy do miasta.

IV

Suriawastu do dziś zachowało typ, jaki opisuje Campanella.

Chociaż mury są dziś niepotrzebne, jednakże nie zburzono ich wcale. Miasto rozmiarami zdaje się większe od Rzymu lub Kopenhagi; mury ma wysokie, grube, z białego wapienia budowane: siedem bram prowadzi do miasta, a każda brama odpowiada jednej z planet.

Świątynia każdej z planet stoi tuż koło bramy, a przy niej posąg odpowiedniego boga-opiekuna planety.

Świątynie budowane są z materiału takiego samego, jak nasz samochód i owe wieżyce, podobne do suszarni.

Jakkolwiek szczegóły miasta poznałem dopiero później – to jednak opiszę je od razu, aby już do tych szczegółów nie wracać.

Miasto ma w punkcie centralnym bardzo obszerny rynek, formy kolistej, na którym stoją najważniejsze świątynie i budynki, a w samym środku forum wysoka na sto dwadzieścia metrów wieża, na której galerii szczytowej straż czuwa nad bezpieczeństwem kraju.

Ponieważ – jak to zauważyłem rychło – Solari mają zmysły daleko potężniejsze od naszych, widzą zatem znacznie dalej, tak, że dostrzegają wszystko, co się dzieje w kraju oraz po jego stronie wschodniej i zachodniej; o ile zaś *chcą*, obejmują wzrokiem jeszcze dalsze widnokregi.

Miasto dzieli się na dwanaście kwartałów, które promieniowato rozchodzą się z centrum: każda dzielnica odpowiada jednemu ze znaków zodiaku.

Każda dzielnica ma szeregi ulic, przeplatanych zielenią ogrodów, które tworzą jakby równoległe ulice. Obok zieleni i kwiatów wszędzie tu słyszeć śpiew i muzykę. Jak nie zauważyłem tzw. „ludu”, tak samo nie widziałem dzielnic ubogich. Domy wszystkie są z materiału podobnego do szkła, albo z tegoż rogowego materiału, co świątynie i suszarnie: najwyżej bywają dwupiętrowe i mają wszędzie balkony i galerie. Zdaje się, że schodów tu nie ma: ludność, umiając latać, od razu unosi się na swoje piętro i tamtędy przez okno dostaje się do domu.

Najciekawszy był plac centralny, na którym tuż pod wieżą i jako jej podstawa mieści się świątynia Słońca, która jest zarazem świątynią Metafizyki; tu przesiaduje główny naczelnik Republiki oraz jego służba pomocnicza.

Tu również jest główna sala Rady państwowej, w której zbierają się ministrowie i mędrcy, przez naród wybrani.

Świątynia ta ma daleko i głęboko idące podziemia, w których mieszczą się rozmaite wielkiej wagi urządzenia.

W pobliżu są tu trzy świątynie oraz ministeria Miłości, Mądrości i Potęgi – a nadto inne budynki niezmiernej wagi, które poznałem później, a które wszystkie wiążą się z wytwarzaniem i przetwarzaniem pramaterii, zwanej Nirwidium oraz praenergii, zwanej Nerwidium.

Później wam wytłumaczę, jakim sposobem tu na tej dalekiej wyspie Tapobrane ludzie doszli do tej samej nazwy, jaką swemu pierwiastkowi nadał Nirwid.

Na ulicach był pewien ruch kołowy, jednakże nasz wózek i moja osoba budziły niemałe wrażenie. Cudzoziemcy rzadko się tu zdarzają. Co do mojej Beatryczy – to widziałem, że jest osobą znaną powszechnie. Zarówno mężczyźni, jak kobiety witali ją życzliwie, podnosząc ręce do góry.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed niewielkim domem, odosobnionym – i wyszedł mój gospodarz, imieniem

Wasiszta, wraz ze swą żoną; gospodarz przedstawiał typ energicznego mężczyzny, jakby żołnierza i, jak wszyscy, miał u boku misericordię.

Damajanti rzekła:

– Oddaję ci tego cudzoziemca pod opiekę. Ten Anglik jest rozbitkiem i czeka na okręt, co by go zawiózł na Zachód. Jest znużony, głodny, w szatach nietutejszych. Wykąpcie go w wodzie nirwidialnej, dajcie mu posiłek należyty i przystrójcie go w nowe suknie. Cudzoziemiec dziwi się wielu rzeczom, których nie widział w swoim kraju: więc mu wyjaśnijcie, czego nie rozumie i odkryjcie mu tajemnice, które można odkryć. Pozostawiam mu wózek, aby mógł z niego korzystać. Bądź pozdrowiony, cudzoziemcze! Żegnam ciebie!

Zacząłem jej dziękować za uprzejmość i przepraszać, że jako obcy – niejedną mogłem jej przykrość uczynić.

Pocałowałem ją w rękę: była to śliczna, biała, delikatna, pachnąca dłoń królowy.

Uśmiechnęła się i z daleka – symbolicznie – pocałowała mnie w czoło.

I znów zaczęło mnie dręczyć pytanie, że jednak jej osoba nie jest mi nieznana: ale skąd ja ją znam? co za jedna? nie byłem w stanie sobie przypomnieć – i zacząłem przypuszczać, żeśmy się znali w żywocie poprzednim.

W chwili, gdy mnie Damajanti całowała w czoło, zjawił się ten sam mężczyzna, który mi sprowadził samochód. Był to, jak się okazało, mąż mojej przewodniczki.

Przyznam się, że mnie ta wiadomość dotknęła w serce, jak małe ukłucie. A ja jużem zaczął marzyć. Ach! *Tanto gentile e tanto onesta pare...*

Odlecieli. Wasiszta oraz jego żona, rodzaj Andromachy, poprosili mnie do środka.

Przede wszystkim, zgodnie z rozporządzeniem siostry, Wasiszta zaprowadził mnie do kąpieli. Była to wanna, jakby

majolikowa, do której wlał mi sam wody dziwnie błękitnego koloru, temperatury umiarkowanej (27 stopni Réaumura) i przesiąkłej aromatem orzeźwiającym.

Wykąpałem się z rozkoszą i poczułem się po tej kąpieli nadzwyczaj wzmocniony, a tyle ze mnie wypłynęło wszelkiego potu, że byłem jakby nowym człowiekiem. Nigdy żadna kąpiel na mnie tak nie oddziaływała.

Naraz, tak mi się zdawało, zaczynało mi się w oczach rozjaśniać; lepiej rozumiałem tutejszych ludzi.

W czasie mojej kąpieli Wasiszta wyszedł, ale w pewnej chwili powrócił i, gdy się wycierał ręcznikiem, oblał mnie jakimś czarującym pachnidłem, bardzo subtelnym, które przeniknęło moje całe ciało.

Jednocześnie przyniósł mi suknie, krojone podług mody miejscowej, tak że, gdyby nie moje gruboskórne ciało, niczym bym się nie różnił od Solarów.

Później zaproszono mnie na posiłek.

Wszedłem do sali, gdzie na sposób wschodni stół był niski, a zamiast krzeseł – poduszki na ziemi. Nieznany mi instrument (ale nie gramofon) sam przez się grał piękne melodie.

Właściwie na stole była tylko kryształowa wazka, w której mieściły się pastylki w rodzaju tych, jakimi rano częstowała mnie Damajanti.

Było nas przy stole troje, to jest moi gospodarze i ja. Naśladowałem ich we wszystkim: każde wzięło po jednej pastylce – i właściwie to stanowiło cały obiad.

Nadto widziałem, że jednocześnie brali w ręce wazoniki kwiatów, stojące na stole przed każdym z nas i wdychali ich aromat, w sposób specjalny, którego nie mogłem się nauczyć.

Jak mi to później wytłumaczono, zapachy stanowiły nie mniej poważną część pożywienia, jak i owe tajemnicze pastylki.

Nadto była tam na stole karafka wody źródlanej i mała flaszka, napełniona płynem bezbarwnym. Gospodarze poczęstowali mnie troszką owego płynu, który rozrabia się wodą – i sami sobie podobny trunek przygotowali. Trunek to był miłszy nad wszelkie wino.

Na tym skończył się obiad.

Musiałem raz jeszcze opowiedzieć swoją historię oraz moje spotkanie z panią Damajanti i jej towarzystwem – i jednocześnie z trudem przypominałem sobie, do kogo podobną jest Damajanti.

Ale i ja byłem ciekawy; zapytałem mego gospodarza, co to za potrawa te pastylki; co to za napój – i skąd się bierze?

– Jest to wyrób sztuczny, ale my go znamy od dość dawna. Daje on nam sumę należytą wszystkich pierwiastków koniecznych do odżywiania ciała i uwalnia nas od walki o jadło, która u was, ściśle biorąc, całe życie zapełnia: widzimy to u Telurów, u Kalibanów i u Anglików. Jedna pastylka dziennie zupełnie wystarcza, ale dwie, nawet trzy, nie zaszkodzą.

– Od jak dawna wy to znacie?

– Od ostatniej rewolucji. W owym to czasie nasz minister Mądrości Agastia wynalazł zasadniczą materię bytu – niejako astral materii – i nazwał go Nirwidium.

– Nirwidium? – zawołałem zdumiony, aż zimny pot spłynął mi po czole; przypomniał mi się Nirwid – jego teorie naukowe, jego tajemnicza maszyna, i jego śmierć tragiczna.

– Tak, Nirwidium, to znaczy po sanskrycku mniej więcej tyle co „ciało niewidzialne”. Nie wszystko mogę ci o tym powiedzieć, bo jestem w służbie Potęgi, ale ktoś z ministerium Mądrości lepiej ci to wytłumaczy. Bez Nirwidium nie byłibyśmy tym, czym jesteśmy. Gdyż Nirwidium wyzwala nas od ciała pierwotnego, w którym dziecinne przepędzamy lata, a w którym wy trawicie cały żywot.

Zauważyłem, że tu nikt się nie wstydzi przyznać, że czegoś nie wie. Zresztą nie bardzo rozumiałem jego ostatnie słowa. (Ale do kogo podobna jest Damajanti?).

Gospodarz mówił dalej:

– Następnie Nirwidium, żywiąc nas, jak to widziałeś, umożliwiło nam rozwiązanie bardzo zawikłanej sprawy socjalnej. Po prostu zmieniło naturę człowieka: bez zmiany człowieka, nie zmienisz społeczności. Na koniec Nirwidium dało nam siłę niezwyciężoną: ten maleńki mieczyk, który widzisz, jest dostateczny, by trzymać w odwodzie bardzo liczną armię. Tysiąc żołnierzy naszych wystarczy przeciw stu tysiącom wrogów. Byłeś dzisiaj na mieście i widziałeś spokój zupełny: a tymczasem my jesteśmy w przededniu wojny. Z jednej strony idą Telury, z drugiej – Kalibany. Za dwa, trzy dni będzie wojna.

– Jeżeli jesteście tak potężni, czemu ich nie podbijecie?

– Dla wielu powodów, nie chcemy do swej republiki wprowadzać elementów niższych, a nadto uważamy, że dobrze jest mieć nieprzyjaciół, gdyż ci zmuszają nas do czujności i stałego pogotowia. Gdybyśmy ich podbili, mielibyśmy w organizmie zarazek szkodliwy i stracilibyśmy czujność. Niewolników zaś mieć nie chcemy.

– Jakże działa ten mieczyk, jeżeli wolno zapytać?

– Pokażę ci to innym razem. Będziemy mieli ćwiczenia wojskowe, jutro lub pojutrze.

– A teraz jeszcze proszę mi powiedzieć, co to za napój?

– Jest to diament płynny. Na naszej wyspie jest niezliczona ilość diamentów, a zresztą za pomocą Nirwidium umiemy przetwarzać węgiel na diament. Również, przy pomocy pewnej reakcji Nirwidium, diament się skrapla i staje się tym płynem bezbarwnym, który piłeś. Zazwyczaj mieszamy go z sokiem winogron – i mamy wino nad wina!

Pani Sakuntala, żona mego gospodarza, mało się odzywała w czasie naszej rozmowy. Umiała za to milczeć w niezmiernie miły sposób, co jest rzadkim talentem. Od czasu do czasu zbliżała się do instrumentu muzycznego, gdy milknął – i na nową melodię go nastrajała. Nagle, spojrzawszy w okno, rzekła:

– O, idą moi rodzice.

Jakoż wkrótce wszedł do izby piękny starzec o postawie senatora z dostojną niewiastą, jaką być musiała Wolumnia, matka Koriolana.

Pokłoniłem się tym czcigodnym osobom, które już o mnie były uprzedzone przez Damajanti. Ale Wasiszta z wielkimi pochwałami mówił o Angliku (ciągle mię tak nazywano).

Starzec powiedział:

– Dzieci drogie, mija właśnie trzydzieści lat, jak żyję z waszą matką; ponieważ niewiele życia zostaje mi na ziemi, przeto postanowiłem wziąć z nią ślub. Słyszę, że będzie wojna, przed wojną zatem chcę tę ceremonię odprawić.

Nowe zdziwienie, jak rozumiecie, ogarnęło moją duszę. Sakuntala, kobiecym instynktem wiedziona, zrozumiała moje zdziwienie.

– Angliku, powiedziała, osobliwe ci się zdaje to, co usłyszałeś. Wiedz zatem, że u nas ślub nie jest początkiem współżycia dwojga ludzi, ale jego uwieńczeniem i zakończeniem; on to współżycie zatwierdza. Jesteśmy w wyborze ukochanych swobodni, choć podlegli ministrowi Miłości; ale żyjemy z sobą bez żadnej sankcji prawnej i, o ile wybór okaże się mylny, rozchodzimy się bez gniewu i żalu. Jednakże są to wypadki nader rzadkie, gdyż u nas zarówno mężczyźni, jak kobiety mają bezwzględną skłonność do jednożeństwa przez całe życie. Można powiedzieć śmiało, że

ministerium Miłości rzadko się myli i bardzo trafnie dobiera tych, których ma w związku połączyć.

– A cóż tu ma do roboty ministerium!

– Ministerium ma wiadomość o wszystkich młodzieńcach i pannach w kraju: zna doskonale ton i barwę ich dusz. Osobna statystyka prowadzi się w tym kierunku. Owóż ludzie są dwoiści: jedni raczej wolą tożsamość tonu i barwy, inni, przeciwnie – kontrast. I o tym wie ministerium i wynajdzie zawsze każdemu z młodzieńców odpowiednią dziewczynę i w danym razie sprowadza ich na jedno miejsce: jest to piękny ogród zwany Radziwa, o dwadzieścia parę kilometrów do Suriawastu. Można powiedzieć, że ze spraw miłosnych usunęliśmy przypadkowość. Stoimy zawsze wobec konieczności. Dlatego u nas każdy prawie związek dwojga ludzi jest stały i pewny. Czasem trafia się omyłka, bo nie ma nic doskonałego. Po wielu latach, którą każda para określa sama, następuje uwięźnienie związku – gody ślubne – uroczystość, w której nie ma fałszu.

Ponieważ jestem z części świata, w której przy pozornej monogamii panuje w rzeczywistości wielożeństwo, zauważyłem z pewną nieśmiałością:

– Czy kochankowie zawsze są sobie wierni? Czy ich nie nuży ta jednostajność?

– Nie ma tu żadnej jednostajności. To zależy od bogactwa duszy. W jednej kobiecie są czterdzieści cztery kobiety, w jednym mężczyźnie czterdziestu czterech mężczyzn. Należy to umieć ze siebie wyłonić i w drugiej osobie wywołać. Ten, który jak motyl przelatuje z kwiatka na kwiatek, żyje w złudzeniu, że szuka i znaleźć nie może. Należy się zatrzymać na jednym bogu, na jednej idei, na jednej miłości. Don Juan umiera nienasycony dlatego, że nigdy nie znalazł tego punktu ostatecznego, do którego dążył. My umieramy nienasycony dlatego, że nikt z nas nie jest w

stanie do samego dna wyczerpać nieskończoność drugiej duszy.

– I to jest metoda – pomyślałem, ale nic nie powiedział, bo jako człowiek zepsuty uważałem, że jednak Don Juan wybrał lepszą część.

Tu wtrącił się do rozmowy stary Wiśwamitra:

– Muszę ci powiedzieć, szanowny Angliku, że u nas stosunki ludzkie nie są oparte na żadnym specjalnym kodeksie prawnym. Każdy prawo nosi sam w sobie i rzadko się zdarza, aby ktoś postąpił wbrew istotnemu prawu przyrodzonemu, które tkwi w samej naturze naszych czynów. Jeżeli się zdarzy, że ktoś popełnił błąd i stracił w sobie drogę prawdziwą, zwraca się do ministerium Mądrości, aby mu jego wątpliwości rozwiązała. Tak właśnie bywa i w stosunkach miłosnych.

Zaczynałem ich rozumieć.

– Ojciec – powiedział tymczasem Wasiszta – gość nasz jest znużony i zapewne chętnie by się przespał. Uwolnijmy go więc od siebie na parę godzin i zaprowadźmy do sypialni. Ale przedtem jeszcze parę słów chcę dodać. Ojciec ma wysoki urząd w ministerium Mądrości i wiele mógłby temu Anglikowi powiedzieć. Nie dziś oczywiście, ale jutro może by ojciec wyjaśnił mu rzeczy, których ja nie znam, a o które właśnie gość mnie rozpytywał.

– Bardzo chętnie – rzeki starzec. – Zajdź do mnie jutro rano na śniadanie, to pogadamy; co będę wiedział, to ci powiem. Ja wiem oczywiście nie wszystko; jeden Metafizyka wie wszystko.

Sam uznałem, że czas iść na spoczynek. Bo choć mię wzmocnił obiad i płyn diamentowy, to jednak tyle godzin walki na morzu odczuwałem w kościach! Dano mi pokój na pierwszym piętrze. Pokój, jak w ogóle tutaj, mało co wyższy nad wzrost człowieka. Łóżko niskie, prawie na ziemi, ale szerokie, miękkie i wygodne. Gospodarz sam mi rozesłał

pościel; w ogóle służby nie ma tu zupełnie: każdy sam sobie służy.

Wkrótce usnąłem głęboko – i roily mi się po głowie już to Li-cza-cheń i szaman, już to jezioro Bajkalskie, już to Japonia i wyspa Rakaszima, już to burza morska, rozbicie okrętu, przebudzenie na brzegu Taprobane – i ci cudowni ludzie. Miranda! Nie – to Damajanti! Nie – to Lenora! Lenora i Damajanti, i od tej chwili ciągle mieszały mi się te dwie osoby. Do kogo była podobną Damajanti? Do Lenory. Tak mi sen rozwiązał moją zagadkę.

Tonto gentile e tanto onesta pare...

V

Nazajutrz rano w towarzystwie Wasiszty poszedłem do jego teścia, Wiśwamitry.

Mieszkał on niedaleko w małym, mile zbudowanym domu z cegieł szklanych różnej barwy w deseń ułożonych; deseń ten wyobrażał swastykę [tutaj w znaczeniu: symbol szczęścia i pomyślności, powszechny w Azji od czasów starożytnych; przyp. red.] . Wasiszta mię pożegnał, gdyż musiał iść do pracy.

Stary Wiśwamitra zaprosił mię do ogrodu, gdzie i zacna jego małżonka Kesini siedziała już w altanie. Miało być śniadanie.

Nie mam potrzeby wspominać, że śniadanie to znowu pigułka, o jakiej mówiłem już kilkakroć, oraz kropla płynnego diamentu, tym razem z mlekiem gorącym.

Może to się wydawać jadłem bardzo jednostajnym, ale jest to złudzenie: instynkt życiowy sprawia, że organizm zawsze otrzymuje te pokarmy i te smaki, których w danej chwili najbardziej pożąda i potrzebuje.

Stąd powstaje właśnie nadzwyczajna różnorodność i czasami niepowtarzalność potraw i smaków.

Jeżeli tu hodują krowy, owce itd., jeżeli sadzą ryż i pszenicę – to robi się to ze względu na dzieci, które trzeba dokarmiać sposobem pierwotnym.

Co się mnie tyczy, to taka pastylka była dla mnie wystarczająca; z przyjemnością zresztą wypilem szklanekę

mleka, a także zjadłem trochę owoców, które mi Kesini ofiarowała.

Sam stary Wiśwamitra, obecnie emeryt, służył przedtem w magistraturze Mądrości, w Oddziale Wyrównania Prawdy i Złudzenia. Jest tu bowiem urząd osobny Prawdy oraz urząd Złudzenia, a nadto oddział łącznikowy obojga i wyrównawczy.

Nie będę tu szerzej zastanawiał się nad tą sprawą, gdyż jak najspieszniej chciałem się dowiedzieć, ile jest prawdy w opowieści Campanelli, i te piękne urządzenia zobaczyć.

U nas bowiem w Europie od czasów Morusa i Campanelli, aż po koniec wieku XIX i początek XX, ludzie nic innego nie robią, tylko rozmyślają nad wprowadzeniem takich urządzeń, jakie były w Słońcogrodzie.

Starzec wyszedł na chwilę z ogrodu i wstąpił do domu, a po chwili wrócił i pokazał mi książkę.

– Czy o tym mówisz? – zapytał.

Była to *Civitas Solis* Campanelli, piękna edycja łacińska, drukowana w Utrechcie w roku 1643.

– Tak jest – odpowiedziałem wzruszony.

– Opis ten nie jest u nas nieznan. Pewien podróżny, w XVII wieku (licząc podług kalendarza waszej ery), Anglik, przywiózł nam tę książkę. Opis ten jest prawdziwy. I w owym czasie, kiedy Campanella był u nas, reforma, którąśmy zaprowadzili u siebie niedawno, była w najpiękniejszym rozkwicie.

Mędrcy nasi w owym czasie doszli do wniosku, że źródłem wszystkiego złego na świecie jest egoizm. A ponieważ podstawą egoizmu jest własność, zatem, aby złamać egoizm – trzeba usunąć własność.

Własność jest źródłem wiekuiestej walki między ludźmi jednej społeczności, źródłem wyzysku i ucisku, źródłem niewoli i tyranii.

Posiadanie bogactw rozwija w nas butę, lekceważenie dla innych ludzi, skłonność do użycia i rozpusty, lenistwo, zniewieściałość, zwyrodnienie.

Dążenie do bogactw budzi chytryść, podstęp, skłonność do oszustwa, nieuczciwość, gotowość do zbrodni, zwyrodnienie.

Nieposiadanie bogactw rozwija zazdrość, uniżoność, nienawiść, choroby, wycieńczenie, zwyrodnienie.

Nie mam zresztą potrzeby bliżej ci tych rzeczy wyklądać, gdyż wasze społeczeństwo, jak to nam wiadomo, całe jest na tym egoizmie oparte, na tej nienawiści wzajemnej, na tym ucisku, buntach i zwyrodnieniu, do czego dodać należy powszechną obłudę.

Egoizm czyli zasada własności stworzyła spadkobranie, spadkobranie stworzyło rodzinę, rodzina stworzyła niewolę kobiet. Najświętsze uczucie ludzkie – miłość – zostało przez prawo własności zakute w pęta przepisów.

Dlatego, aby z życia usunąć egoizm, stworzyliśmy sobie nową konstytucję, która przede wszystkim znosiła prawo własności.

W ten sposób zniesioną też została praca najemna – i każdy pracownik był uwłaszczony i stawał się jakby urzędnikiem państwa.

Po trzecie, zniesione zostały ustawy o życiu rodzinnym, o spadkobranii i o związkach małżeńskich. Mężczyźni i kobiety uzyskali swobodę kierowania się uczuciem do woli.

Dzieci znajdowały się pod opieką państwa i zbudowaliśmy dla nich wielkie falanstery, gdzie młode pokolenie było wychowywane.

Odpowiednio do tego stworzyliśmy sobie nowych bogów i nowe ceremonie religijne, które miały symbolizować różne kategorie życia i działania. Na czele rządu stali mędrcy, zwani Miłość, Mądrość i Potęga – a ponad nimi Metafizyka

czyli Słońce. Ten triumwirat pod wodzą Metafizyki miał nam zapewnić sprawność organizacji i szczęście powszechne.

Ponieważ na naszej wyspie były jeszcze cztery państwa, dwa na Wschód i dwa na Zachód, aby więc nie dostać się pod ich władzę, stworzyliśmy armię, która naszych nieprzyjaciół trzymała w szachu.

Tak założyliśmy Republikę, która byłaby może najszczęśliwszą w świecie, gdyby nie nędza natury ludzkiej.

Praca bowiem, na której głównie miała się oprzeć nasza społeczność, bardzo rychło zaczęła być wykonywana nader lichy, opieszale i nawet wcale nie wykonywana. Dla każdego stało się obojętne, ile pracy wypełni, jak ją wypełni i kiedy. To, co można było zrobić w godzinę – rozciągano na tydzień.

Choć obmyślono różne kary dla niepracujących – to jednak w prędkim czasie nasi ludzie zaczęli sobie lekceważyć i te kary, a nawet niejeden wolał karę niż pracę, gdyż karany próżniak był również żywiony, jak ten, co pracował gorliwie.

Wynikł z tego wielki upadek wytwórczości; nieraz nawet ryżu brakło.

Natomiast ludzie, oddani próżniactwu, chętnie uprawiali erotyzm. Swoboda w stosunkach miłosnych, zasadniczo idealna, stała się bezgraniczną i przerodziła się w najcyniczniejszą rozpustę. Głównym źródłem nowych praw o stosunkach płci była troska o to, aby nie zawierano małżeństw bez miłości. Tymczasem ludność zrozumiała to jako prawo do wszelkich nadużyć – bez miłości.

Jakoż nasza młodzież, zarówno męska, jak żeńska, nader ochoczo rzuciła się w ten wir rozkoszy i wszyscy zaczęli się łączyć ze sobą na czas bardzo krótki, coraz krótszy, tak, iż normą stały się związki jednodniowe.

Minister Miłości w swoim wydziale zauważył chaos zupełny.

Nie mniejszy był chaos w ministerium Potęgi: zepsuci niechęcią do pracy i nadużyciem miłostek, młodzi ludzie stali się źle usposobieni dla służby wojskowej. Zdaniem ich wojskowość była niepotrzebna, stworzyli sobie teorię wiecznego pokoju.

Sąsiedzi nasi ze Wschodu i Zachodu nieraz bywali u nas i bardzo im się tu podobało; z zazdrością oglądali nasze porządki.

Uważali ten nastrój za bardzo przyjemny – i wielu było takich, którzy chcieli taki sam ustrój zaprowadzić u siebie. Jednakże u naszych sąsiadów inny był układ stosunków i poglądy solaryczne uważane były za szkodliwe dla państwa; ci zaś, co podobne myśli upowszechniali – dostawali się do więzienia albo ginęli na szubienicy.

Położenie stało się bardzo naprężone zwłaszcza z chwilą, gdy niemal jednocześnie na Wschodzie naszej wyspy Telury połączyły się z państwem sąsiednim, na Zachodzie zaś to samo uczyniły Kalibany. W ten sposób zamiast czterech sąsiadów, którzy wciąż walczyli ze sobą, mieliśmy tylko dwóch, którzy wkrótce porozumieli się i zawarli przymierze zaczepno-odporne.

Campanella był u nas na początku wieku XVII – i widział złoty wiek naszej nowej organizacji. Ale niestety ten złoty wiek trwał bardzo krótko: nie minęło dwudziestu pięciu lat, a w Słońcogrodzie zapanowała anarchia zupełna.

Była u nas wiara w żywy instynkt masy ludowej – i niestety rozczarowaliśmy się zupełnie. Masa była rozpętana, ale sama nad sobą panować nie umiała.

Zdaje się, że nasi mędrcy-organizatorzy popełnili błąd, przypuszczając, jakoby można stworzyć społeczeństwo, oparłszy je wyłącznie na zasadach, wysnutych z czystego rozumu, a pominąwszy znaczenie popędów, instynktów,

namiętności i wszystkich słabych stron natury ludzkiej, dla których rozum sam nie jest dostatecznym hamulcem.

Chcieli oni z ziemi usunąć cierpienie, a tymczasem je powiększyli. Chcieli usunąć nędzę, a tymczasem ją podsyć. Chcieli zwalczyć egoizm, a tymczasem rozpętali go jeszcze bardziej.

Natura ludzka wymaga pewnych skrepowań i zastrzeżeń, tak jak ptak, aby latać, musi mieć opór ze strony powietrza: bez tego oporu nie mógłby latać. Myśmy wszelkie zapory znieśli – i stanęliśmy wobec ptaka, co z nadmiaru łatwości nie był w stanie latać.

Takie zaś nastąpiło rozluźnienie ducha i obyczajów, że nasi władcy zaczęli myśleć o zamachu stanu: aby zaprowadzić rządy absolutne i despotyczne, jak u Telurów i Kalibanów.

Ale dążenia te wywołały niezadowolenie w masach. Nie zapominajmy, że fatalna niechęć do wojskowości (gdyż i pod tym względem rozwinęła się wielka anarchia) sprawiła, żeśmy bardzo niewiele mieli żołnierzy.

Przeciwnie, wielu było takich, którzy w obawie zmian, jakie Metafizyka zamierzał wprowadzić, zwrócili się już do Telurów już to do Kalibanów o pomoc, aby nasz ustrój uchronili przed despotyzmem.

Był to najokropniejszy okres naszych dziejów: sąsiedzi nasi od dawna już dybali na naszą ziemię i skwapliwie skorzystali ze sposobności, gdy im ci zdrajcy podsunęli myśl „ochrony” Słońcogrodu.

Sami oni przerazili się, ujrawszy skutki swego obłędu – i trzeba ku ich chlubie powiedzieć, wszyscy przywódcy tego ruchu samobójczą śmiercią odpokutowali za swe grzechy.

Tymczasem jednak Telury i Kalibany ziemię naszą napadły. Niedługa była to walka, a choć się naraz zbudził animusz i naraz powstała wcale bitna armia, to jednak Suriawastu uległa przemocy nieprzyjaciół – i oto znaleźliśmy

się w niewoli. Było to w początkach wieku XVIII podług waszej rachuby.

Podzielili oni nasz kraj na dwie części i sami zaczęli nim rządzić. Jakkolwiek byli to barbarzyńcy, niżsi od nas i co do barwy skóry, i co do ducha, to jednakże mieli za sobą siłę, która zawsze idzie przed prawem, w warunkach takich, jak na przykład dzisiaj są wasze.

Nasze poczucie honoru, nasza miłość własna, nasza zbiorowa dusza czuły się zelżone i zhańbione. Rozumieliśmy, żeśmy sami niemało zawinili i że czyściec, w który zapadliśmy, ma na celu naszą poprawę.

Bo chociaż organizacja nasza, ta, której zaczątki piękne opisał wam Campanella, rozpadła się w anarchii, to jednak zasadniczo była ona wyższa od tej, którą spotkaliśmy u naszych wrogów.

Zarówno żółtoskóre Telury, jak i półczarne Kalibany oparli budowę swoich państw na czystym despotyzmie; tylko że u Telurów było wszystko rozwinięte w formach pewnego mechanicznego porządku, gdy u Kalibanów przetrwał jakiś stan bardzo pierwotny zwykłego niewolnictwa. Kalibany nie dorośli do człowieczeństwa, Telury po prostu ludźmi być przestali.

Tacy to władcy zapanowali nad nami. Ale chociaż własny rząd utraciliśmy, to jednak pewnym rodom ofiarowaliśmy idealne dziedzictwo naszych dawnych magistratur.

Jedni z ojca na syna traktowani byli jako Słońce, inni jako kierownicy trzech atrybutów Słońca.

Pod wpływem niewoli, obok gorzoty i melancholii, odbyła się wielka zmiana obyczajów: rozluźnione stosunki miłosne ustały i młodzież sama sobie stworzyła surowy kodeks erotyczny.

Również rozwinęło się wielkie zamięłowanie pracy, jako też i nauki, która została zaniedbaną.

Słońce – nasz główny kierownik – wraz z radą mędrców, którzy ustanowili rząd tajny, zaczęli badać przyczyny, dla jakich próba poprzednia skończyła się tak tragicznie.

Doszli oni do wniosku, że ustrój ten ze stanowiska metafizyki doskonale pomyślany, nie był odpowiedni dla ludzi na ich ówczesnym stopniu rozwoju.

Aby ten ustrój istotnie wcielić w życie – trzeba stworzyć innego człowieka, inną rasę.

Głównym czynnikiem, który ludzi trzyma w kajdanach ciemnoty, żądz, plugastwa, rozpusty, kłamstwa, lenistwa jest ciało materialne, które powstrzymuje nas w lotach ku górze i każe wiecznie staczać się w błoto.

Jest w nas człowiek zewnętrzny, mało co różny od zwierzęcia, wieczny ludożerca, nieustannie łamiący się między podniosłością marzenia a nędzą jego realizacji; oraz człowiek wewnętrzny, jego duch nieśmiertelny, jego Jaźń wiekuista – nieraz zupełnie obcy tej gruboskórnej powłoce, w której duch mieszka.

Tego człowieka wewnętrznego należy wydobyć na jaw, a tamto zwierzę zewnętrzne unicestwić.

Ale jak to uczynić? Czyli czekać siedem tysięcy lat, aż ten *człowiek* zwycięży zwierza i sam się wyłoni, czy też znaleźć jakiś sposób, choćby mechaniczny, aby go wyzwolić?

Postanowiono zatem szukać środków, by wydobyć esencję niebieską, ducha ludzkiego, aby ona mogła królować, nie zaś ten niższy byt materialny.

Właśnie zaś w owym czasie dwaj nasi mędrcy, Agastia i Bhargawa, pracowali nad wielkim problemem życia i ducha.

Nie były to rzeczy przedtem u nas nieznane, ale teraz stanęliśmy u wrót rozwiązania tych tajemnic.

Już starzy jogowie wiedzieli o tym, że człowiek cielesny zawiera w sobie drugą istotę – człowieka astralnego. Ten człowiek astralny w warunkach zwykłych jest istotą bardzo nietrwałą i w gruncie lichsza od człowieka zewnętrznego, a jednak on to jest rzeczywistym człowiekiem, on jest naszym wewnętrznym, doskonalszym, wiekuistym Ja.

Niektórzy ludzie, zwani u Anglików „media”, dają fenomeny niezwykle, które wielu uważa za nadprzyrodzone. Oczywiście jest to niedorzeczność, gdyż w przyrodzie nie ma rzeczy nadprzyrodzonych.

W pewnych warunkach medium daje chwilowe życie istocie widmowej, astralnej, która jest właśnie zmaterializowaną naszą Jaźnią wewnętrzną.

Owóz Agastia w licznych doświadczeniach zauważył, że ta materializacja widma odbywa się kosztem dematerializacji ciała medium.

Były nawet eksperymenty tego rodzaju, że widmo zmaterializowane trwało kilkanaście godzin, ale medium wyczerpane rychło potem umierało: widmo zaś zniknęło.

Zdarzyło się jednak tak, że ciało zniknęło na dwadzieścia cztery godziny, widmo zaś krążyło do woli gdzie zapragnęło – a później zniknęło, ciało zaś było na nowo żywe i zdrowe.

Rodziły się więc problemy takie: 1) jak zrobić, aby to widmo nie zniknęło wcale i aby ciało nie umarło, słowem, jak utrwalić astral, konserwując jednak ciało? 2) jak zrobić, aby z każdej istoty ludzkiej wydobyć jego astral – i stworzyć niejako społeczeństwo astralów?

Wyzwolenie to naszej istoty wyższej z więzienia byłoby niemożliwe, gdyby nie wynalazek Bhargawy, który do samego rdzenia przeniknął budowę materii i związanej z nią niepodzielnie energii.

Odkrył on Nirwidium, pierwotne punctum tworzywa oraz połączone z nim Nerwidium – jako punctum ruchu mechanicznego, życiowego i psychicznego.

Agastia stworzył maszynę, bardzo prostą, ku wydobywaniu Nirwidium: a ponieważ Nirwidium jest wszędzie, przeto można je wszędzie i w każdej chwili wydobywać w ilości dowolnej i w dowolnej postaci, zwłaszcza z powietrza. Z niego to mamy owe pastylki, które nas żywią, redukując do minimum konieczność jedzenia. Nirwidium na przykład pozwala nam zmieniać ołów, którego mamy tu bogate pokłady, na złoto, dlatego widzisz u nas tyle złota, które używamy jako metal nie ulegający zepsuciu.

Nirwidium, przesycone swoją energią ruchową, jakby świadomą, nerwową – w postaci, przypominającej płyty rogowe – służy u nas do wyrobu na przykład samochodów, które się poruszają jak istoty świadome.

Z Nirwidium robimy niezwalczony oręż, który ci pokaże Wasiszta. Jesteśmy w przededniu wojny, więc będziesz mógł się przekonać, jak małym wysiłkiem jesteśmy zdolni złamać najpotężniejsze siły wrogów – na lądzie, na morzu i w powietrzu.

Ale najważniejsze jest to, że Nirwidium pozwala nam wulkanizować (czyli utrwalać), istoty fluidyczne, z naszych ciał powstające.

Aby te widma astralne mogły się niejako uczłowieczyć, musi przedtem nastąpić dematerializacja zupełna człowieka; widmo zaś zostaje wyzwolone, zwulkanizowane i utrwalone.

Człowiek znika, przepada, wchodzi w niebyt, rzecz można, staje się widmem. Ale nie przepada bezwzględnie: w razie grzechu, występku, obłędu, choroby u Solarów widzimy częściowy lub całkowity, nagły powrót elementu cielesnego. Pełny powrót ciała widzimy zwykle w chwili śmierci.

Widmo z nirwidialnego ognia i nirwidialnej kąpieli – wychodzi utrwalone i pełne mocy. Ciało jego jest o tyle wyższe od ciała ludzkiego, o ile ciało ludzkie jest wyższe od rośliny.

Jest to rasa odmienna, z ludzkiej pochodząca i z ludzką związana, ale odmienna. Jednakże dzięki naszemu pokrewieństwu możemy się porozumiewać z ludźmi.

Nie należy zapominać, że swoje dzieciństwo my przepędzamy jako istoty ludzkie. Chłopcy w roku osiemnastym, dziewczęta w roku piętnastym życia ulegają wyzwoleniu, to jest odcieleśnieniu.

Nie znaleźliśmy dotąd sposobu dematerializacji istoty ludzkiej natychmiast po urodzeniu, gdyż mdłe niemowlę mogłoby nie wytrzymać wielkiej przemiany, a zresztą nie jest to pożądane. Aby astral mógł istnieć, musi przedtem wylegać się niejako w organizmie ludzkim.

Dopiero odcieleśnieni nasi Solarowie oddani zostają bogu Miłości. Niewątpliwie zapytasz, jak się objawia miłość u istot odcieleśnionych.

Zupełnie tak, jak u ludzi – tylko jest prawdziwsza, trwalsza i czystsza. Dzieci rodzą się w łonie matki tak samo, jak u ludzi i przychodzą na świat zupełnie jak Anglicy.

Takie odkrycia porobił Bhargawa, który doszedł do wniosku, że trzeba użyć pewnej procedury mechanicznej, aby utrwalić istotę duchową na ziemi.

Odkrycia te w całej pełni zostały wykończone koło roku 1780, gdy naraz Telury i Kalibany, którzy dotąd naszym kosztem żyli w porozumieniu, rozpoczęli ze sobą długą i okrutną wojnę, która trwała koło lat dziesięciu.

W owym czasie posiadaliśmy już broń nirwidialną i w końcu owych lat dziesięciu, widząc, jak słabną Telury i Kalibany – powstaliśmy do walki z zaborcą i przepędziliśmy

jednych i drugich. Tak się skończyła wojna, a republika Słońcogrodzka nagle zmartwychwstała.

Historia naszego wyzwolenia wcale nie była tak radosna, jak to wielu z nas w ciągu owych lat niewoli marzyło.

Nie ma na świecie rzeczy niebezpieczniejszej niż realizacja jakiejś idei. Widzieliśmy to już w XVII wieku, gdy wcielony został w życie u nas, zdawało by się, najdoskonalszy porządek społeczny: i oto wyszła z tego anarchia, rozpusta, nędza, nieszczęście i niewola.

W niewoli marzyliśmy o wyzwoleniu, ale wielu przywykło do niewoli, wierząc, że ona się nigdy nie skończy. Pod wpływem dwoistej władzy jedni upodobnili się raczej do Telurów, inni do Kalibanów. Powstały jakby dwa różne narody, choć jednym językiem mówiące – i nie mogły się zrozumieć.

Nowy rząd, który powstał w odrodzonym Słońcogrodzie – oczekiwał z niepokojem, jak się urzeczywistni stuletnie marzenie.

Istotnie, blisko trzydzieści lat po odbudowaniu ojczyzny, trwały na nowo z grobu powstałe grzechy, intrygi warcholskie, walki stronnictw i korupcja wszelkiego rodzaju. Byli z jednej strony tacy, którzy chcieli na nowo wrócić do organizacji opisanej przez Campanellę; inni raczej chcieli rządów despotycznych, jak u Telurów lub Kalibanów; inni za wzór stawiali urządnienia angielskie.

Trzeba dodać, że choć na czele rządu stoją bardzo szanowni mężowie, to jednak oszczerstwa najnikczemniejsze na nich rzucano, tak ohydne, że nawet bardzo uczciwi ludzie zaczęli żałować okresu niewoli.

Należało przystąpić do wielkiej, bardzo ryzykownej reformy. Sąsiedzi nasi długoletnią wojną byli tak osłabieni, że mogliśmy spokojnie zająć się przemianą wewnętrzną.

Trzeba było przede wszystkim stworzyć z tysiąc nadludzi, jakich obmyślił Agastia i Bhargawa. Robiło się to w wielkiej tajemnicy: w podziemiach Słońca ustawiona była maszyna, produkująca Nirwidium i tamże zbudowano izbę dematerializacji tych, którzy chcieli się poddać doświadczeniu.

Kilkadziesiąt jednostek takich już było, ale i to była realizacja – przy tym daleko trudniejsza niż inne, sięgająca do samej esencji natury ludzkiej. Trzeba było zbadać, jak się te zwulkanizowane widma zachowują.

Przez 48 godzin astrale błądziły po świecie, jak opętane, nie pojmując zupełnie swego zjawienia. Ale po krótkim czasie, po ośmiu dniach okazywały wielkie zrozumienie rzeczy ziemskich – i znakomitą wyższość nad istotą ludzką.

Zatem nasi mistrze drogą hipnozy zaczęli pouczać naród o tym, co zamierzają uczynić.

Wielu było opornych, gdyż ciało jest łakome i pożądlive, ale gdy z wolna przyjrzeni się wyższości ludzi astralnych nad sobą, a zwłaszcza zdolności latania po powietrzu, która jest wynikiem faktu, że ciało nasze jest niezmiernie lekkie, przy czym ciężar jego stanowi nasza wola, chętnie zaczęli się poddawać potrzebnej operacji.

Operacja ta wymaga czasu i składa się z kilku momentów: naprzód trzeba wprowadzić medium w stan katalepsji, a bywają media bardzo odporne; następnie trzeba z niego stopniowo wydobywać ciało astralne, medium odcieleśniać, zjawę materializować; wreszcie medium unicestwić, zjawę zwulkanizować i utrwalić tak, że ona jedna żyje.

Dopiero w chwili śmierci naraz ciało się ukazuje z powrotem i gdy astral ulatuje swobodnie na inną planetę – w komnacie żałobnej masz zwyczajnego trupa ludzkiego, który zostaje spalony na stosie.

Na tym polegała zmiana człowieka w naszej Republice – i dopiero wtedy, kiedy nędzna materialna istota ludzka została przewyciężona i przewyższona, kiedy zapanował na naszej wyspie duch wyzwolony z cielesności, dopiero wtedy można było zacząć istotną realizację tego świata, który opisał Campanella.

Wówczas była to pierwsza próba w warunkach ludzkich – nieudana. Druga próba, którą teraz przeprowadziliśmy, rzecz można, świadczy o możliwości społeczeństwa, doskonalszego, niż te, które dotychczas były na ziemi. Ale musi powstać człowiek nowy.

Taką jest historia naszej Suriawastu.

* * *

Łatwo zrozumiecie, z jakim wzruszeniem słuchałem opowieści czcigodnego Wiśwamitry. Przede wszystkim uderzyła mnie analogia między moją teorią dematerializacji mediów a procedurą używaną w Suriawastu stale i powszechnie. Byłem też niesłychanie ciekawy tego widowiska, jakim musiało być owo odcieleśnienie ludzi, wydobywanie ich pierwiastka astralnego oraz ich nirwidyzacja lub, jak tu mówiono – wulkanizacja. Starzec obiecał mi, że zaprowadzi mnie na taką uroczystość, która ma się odbyć natychmiast po wojnie, gdyż właśnie cała partia młodzieży płci obojga doszła do odpowiedniego wieku.

A więc Miranda mogła być dla mnie źródłem stworzenia wyższej istoty nadludzkiej, ale, niestety, brakło mi Nirwidium.

Co za nieszczęście dla świata – owa śmierć naszego Paracelsa Nirwida! Wiadomość o Nirwidium była drugim powodem mego wzruszenia, ale o tym będę mówił później.

VI

Tegoż dnia po południu odbyć się miał obrzęd ślubny Wiśwamitry i Kesini. Udaliśmy się na plac główny miasta, którego gmachy zwiedziłem stopniowo.

Był jeden centralny, jak mówiłem, świątynia Słońca i dokoła niego trzy gmachy: Miłości, Mądrości i Potęgi.

Każdy z tych gmachów był świątynią, a zarazem stanowił, jak byśmy w Europie powiedzieli, ministerium.

Ponieważ tutaj życie, metafizyka i boskość zawsze się łączą ze sobą w jedno – zatem każdy niemal przedstawiciel magistratury jest jednocześnie kapłanem.

Powiedziałbym, że ustrój tutejszy, będąc czymś w rodzaju socjalizmu, jest zarazem sofokracją, to jest panowaniem mędrców, a nawet teokracją, to jest panowaniem stanu kapłańskiego, co jest zrozumiałe, gdyż zarówno tutejsza religia, jako też filozofia wypływa z braminizmu, który jest organizacją teokratyczną.

Dokoła owych trzech ministeriów, stanowiąc drugie koło, którego centrum było w świątyni Słońca, stało sześć gmachów mniej uroczystej konstrukcji, a które wyglądałyby na fabryki lub jakieś przetwórnice, gdyby nie to, że nie miały kominów i przybudówek, jakie zwykle bywają u nas w osadach fabrycznych.

Były to istotnie fabryki: w jednej z nich wyrabiano owe pigułki odżywcze, które stanowiły główny pokarm ludności; w drugiej przygotowywano cegły do budowania domów; w

trzeciej – tkaniny na odzież itd.; w czwartej – broń, owe misericordiale, o których wspominałem.

Takie fabryki były rozsypane po całym kraju – i wszystkie były połączone z tajemniczą maszyną, która się mieściła w podziemiach świątyni Słońca.

Podobne maszyny mniejszych rozmiarów znajdowały się w całej republice, co dwadzieścia jeden kilometrów – i za pomocą fal hertzowskich łączyły się ze sobą, jak byśmy powiedzieli, bez drutu.

Niestety, Słońcogrodzianie bardzo zazdrośnie ukrywają tajemnicę tej maszyny, która ma być nadzwyczaj prosto zbudowana – i jest, że tak powiem, maszyną maszyn, ponieważ wszystkie inne maszyny zastępuje.

Wszędzie, gdzie taka maszyna się znajduje, jest ona okryta całym szeregiem tajemniczych zasłon i tylko otwór jej, przypominający zakończenie dużego lejka, wystaje na zewnątrz.

Nie wszyscy mieszkańcy Republiki Słonecznej znają budowę tej maszyny; osobni technicy, których się wybiera spośród młodzieży jeszcze przed wulkanizacją i których odpowiednio się wychowuje, mają później nadzór nad maszyną.

Składają oni przysięgę tajemnicy, a ponieważ władza tutejsza w wysokim stopniu stosuje psychoskopię, o ile by więc kto krzywoprzysiągł, natychmiast bywa zdemaskowany.

Mówię o tym nieco dłużej, gdyż chcę wam wytłumaczyć, dlaczego, pomimo wielką życzliwość, z jaką mnie tu przyjęto, nie mogłem się dowiedzieć, jak jest zbudowana ta maszyna i nie mogłem jej zobaczyć.

Wszyscy życzliwi nowożeńcom zgromadzili się w świątyni Miłości. Był tam, oprócz Wismamitry i Kesini, Wasiszta z żoną i Damajanti z mężem oraz liczne grono osób,

jeszcze mi nieznanym. Były tam również inne grupy, które widać ten sam obrządek zamierzały odprawić.

Świątynia Miłości ma wielką halę środkową z głównym ołtarzem oraz cztery hale poboczne. W głównym ołtarzu stoi posąg boga miłości, który nie przypomina bynajmniej Kupidyna greckiego: jest to raczej Kriszna, w którym się łączy świat zmysłowy i nadzmysłowy; z jednej strony tkwi on w najpierwotniejszym świecie materii, z drugiej – w najwyższym świecie idei.

Była to postać niewielka, siedząca na delfinie, który wyobraża morze i ruch, morze i płodność, morze i nieskończoność – i w ten sposób jednoczy w sobie ducha i materię, bóstwo i człowieka, miłość ziemską i nadziemską.

Zbyt kocham rzeźbę grecką, abym mógł się zachwycić posągami tutejszymi, które są w stylu dawnych bogów indyjskich.

Również i Kriszna miał pewne cechy, które mi się niestety nie podobały. W ogóle sztuka Słońcogrodzian jest dla Europejczyków mało dostępna, choć metoda pracy ich artystów jest wysoce oryginalna, o czym jeszcze powiem.

Im bardziej przyglądałem się Damajanti, tym więcej uderzało mnie jej podobieństwo z Lenorą – i chwilami sądziłem, czy to nie jest ta sama istota, która już to krąży tu po wyspie, jako żywa wcielona postać, już to znowu trwa jako widmo, związane gdzieś daleko z jakąś nieokreśloną Mirandą.

Damajanti była dziwnie zamyślona i widocznie coś ją absorbowało. Do mnie zwróciła się z pełnym życzliwości ukłonem i znów jakieś drzenie przeszło całą moją istotę i zacząłem marzyć, jakby to było pięknie, gdyby taka nadludzka istota...

Figura Kriszny naraz zapromieniała wszystkimi kolorami tęczy; z wyżyny spadł deszcz kwiatów, rozlewając dokoła zapach cudowny, a z galerii nad ołtarzem dał się

słyszeć dźwięk melodyjnej muzyki; o ile mogłem sądzić były to jakby arfy i lutnie, połączone z dźwiękiem organu.

Śród tych wielobarwnych promieni, tych kwiatów i tej muzyki ukazał się przedstawiciel władzy, sługa boga Miłości.

Wezwał on kandydatów ślubnych przed oblicze Kriszny; cztery pary wystąpiły ze swych orszaków i do ołtarza się zbliżyły.

Sługa boży miał do nich krótką przemowę: podniósł ich wieloletnie współzycie, oparte na wiernej miłości; zaznaczył, że nieczęsto zdarzają się tak dostojne związki i w nagrodę połączył ich ręce, czym uwieńczył ich jedność, wzywając Krisznę, aby więcej było wzorów podobnych.

Uroczystość była bardzo piękna i wzniosła – i oznaczała się czymś, co u nas przy ślubach bywa bardzo rzadkie: prawdą. Miałeś wrażenie, że w tym obrzędzie ani kropli fałszu nie ma.

Wszyscy obecni zaczęli śpiewać hymn z towarzyszeniem muzyki, która grać nie przestawała. Tak się odbyły zaślubiny Wiśwamitry z Kesinią oraz innych par, które były w świątyni.

Byłem swoją drogą ciekawy, co to jest owo ministerium i jakie są jego kompetencje. Niemały był istotnie zakres jego pracy, gdyż wyrazem *miłość* obejmowali oni znacznie szersze pojęcie, niż to u nas bywa.

Przede wszystkim, co się tyczy miłości bliźniego, która jest u nas naczelnym, a nigdy nie wykonywanym, przykazaniem religii, to w Suriawastu jest ona zjawiskiem tak normalnym i nieustającym, że właściwie o niej się nie mówi; miłość ta rozumie się sama przez się i przez jakiś instynkt przyrodzony ludzi tutejszych – sama przez się uprawia się spokojnie, bez nacisku, bez wyrozumowanego obowiązku, bez narzucania się bliźniej duszy i bez ostentacji.

Zasadniczą sprawą jest tu troska o stworzenie potomstwa i przy tym chodzi o to, aby rasa była zarówno fizycznie, jak duchowo pierwszorzędna.

O ile bowiem Słońcogrodzianie mają ciało subtelniejsze, jakby na wyższej płaszczyźnie ustawione, o tyle znów mają zmysły doskonalsze, gdyż wszystkie odznaczają się zdolnością telepatyczną.

To znaczy, że oko ich widzi na odległość dowolną; również ucho ich słyszy na odległość i tak dalej.

Z tego powodu widzą, co się dzieje nawet na innych wyspach; mogą rozmawiać swobodnie z ludźmi żyjącymi i w innych stronach.

Nerwy ich, o ile trafią na istotę pokrewnego ducha, grają unisono z nerwami tej istoty.

Owóz na tym opiera się to, co Sakuntala nazwała „osobną statystyką”.

Ministerium Miłości prowadzi dokładną psychometrikę temperamentów, usposobień, falowań nerwowych uczuciowości itd. różnych jednostek w całym kraju – i dobiera je tak, że tworzy szczęśliwe stadła. Rzadko trafiają się omyłki, o ile zaś się trafia, to w sposób nie drażniący bywają wyrównane.

Kiedy się rodzą dzieci, w pierwszym roku życia znajdują się pod opieką matki. Ona je sama karmi, gdyż mamki są tu nieznane.

Później ministerium zajmuje się ich wychowaniem aż do siódmego roku życia w szkołach, tak zwanych macierzyńskich, gdy szkoła średnia znajduje się pod zawiadywaniem ministerium Mądrości.

Szkoła wyższa natomiast, do której wchodzi jednostki odcieleśnione, jest pod zarządem Potęgi.

Również do zarządu Miłości należy wszystko, co jest związane z życiem rodziny: społeczność, jak ojciec, czuwa

nad przeżywieniem ludności. Fabrykacja owych skondensowanych *dragées*, którymi się tu karmią, jest pod jego kierunkiem. Do niego należy to, co się wiąże z higieną, medycyną, farmacją.

Również rolnictwo, hodowla bydła, hodowla kwiatów należy do tego ministerium, jak z drugiej strony te dziedziny pracy ludzkiej, które są pod władzą wyobraźni, a więc: poezja, sztuki plastyczne, muzyka. Wychowanie płynie rytmem muzycznym.

Goście weselni udali się do domów, gdzie odprawiono ucztę, ale Wasiszta i kilku innych ludzi stosunkowo młodych, a będących w służbie Potęgi, zmuszeni byli pożegnać nowo zaślubionych, gdyż obowiązek wzywał ich gdzie indziej.

Choć obecność Damajanti bardzo mnie nęciła, i ja również pragnąłem iść z nimi. Ale oni mieli polecieć powietrzem, gdy ja...

Owóz Wasiszta, znając to moje życzenie, sprowadził mój wózek; sam w nim zasiadł wraz ze mną, ster nakręcił i powiedział: galop najwyższy!

Jak wiemy, wózki te robiono nie z pierwotnej i bezwładnej materii nirwidialnej, ale z tegoż elementu mocno przesyconego energią ruchową (tzw. Nerwidium).

Dlatego wszelkie narzędzia, które się poruszają, nie są pozbawione pewnego rodzaju świadomości: rzekłbyś słyszą, widzą.

Toteż samochód nasz, usłyszawszy rozkaz mego towarzysza – puścił się po ulicach Słońcogrodu tak zawrotnym pędem, że nic a nic nie widziałem: wszystko mi zlewało w dwoistą białą popielatą ścianę, a potem była równina bez granic. W niecałe dziesięć minut znaleźliśmy się za miastem, dokąd z różnych stron spływały powietrzem gromady młodych ludzi, żołnierzy.

Spuszczali się na obszerną równinę, która stanowiła, mówiąc językiem Europy, „Pole Marsowe”. I ci, którzy asystowali uroczystości zaślubin, krewni i przyjaciele Wasiszty, przybyli tu prawie jednocześnie z nami.

Miały się odbyć ćwiczenia wojskowe, poprzedzające wojnę. Ćwiczenia były urządzone na sposób manewrów. Żołnierzy było tysiąc; podzieleni byli na dwie armie po pięćset osób.

Większość przybyła w specjalnym stroju, który ukrywał się pod chlamidą.

Wasiszta chlamidę zostawił w wózku, gdzie i mnie kazał siedzieć (gdyż oczywiście na pole Marsowe nie zostałem wpuszczony).

Teraz był jakby w trykocie, w którym poruszył jakąś śrubkę czy coś podobnego – i w tej chwili miał na sobie rzekłbyś stalowy, ale nader giętki, pancerz, kolczugę, która go od stóp do głów okrywała.

Tak samo w kolczugi był przybrany cały tysiąc żołnierzy.

Jedna część, wyobrażająca nieprzyjaciół, była nadto przepasana czerwoną szarfą.

Niektórzy mieli na stalowej kolczudze złote znaki, które widocznie oznaczały rangę. Wasiszta nosił na szyi złoty kołnierzyk, który w naszej nomenklaturze odpowiadał randze pułkownika.

Na obszernym „Polu Marsowym” z dwu krańców stanęły oba wojska.

Wojsko „nasze” było zbrojne wyłącznie w misericordie. Nieprzyjaciel zaś miał normalne karabiny i armaty europejskie.

W oddaleniu jednej trzeciej części pola Marsowego w armii nieprzyjacielskiej zbudowany był rodzaj muru z granitu, wyobrażający fortecę; również w oddaleniu jednej trzeciej

części pola po naszej stronie stała ściana z tego nieokreślonego materiału, z którego tu budowano domy, owe susznie po wsiach itd.; ściana była nie grubsza nad palec, wysoka na 60 metrów.

Armaty nieprzyjacielskie stały na murze tak, że mierzyły wprost w naszą ścianę.

W danej chwili zabrzmiał odgłos trąb z obu stron: było to hasło bitwy. Huknęły armaty nieprzyjacielskie; wróg zaczął strzelać w naszą ścianę: ale ściana ani drgnęła; jedne z kul płaszczyły się w jej powierzchni, rozpałały ją na chwilę, w punkcie uderzonym, do czerwoności, po czym w nią wsiąkały, niknąc bez śladu.

Inne o jeden milimetr od ściany zatrzymywały się w biegu i padały na ziemię, gdzie się na popiół rozpadały.

Na szczycie ściany, wewnątrz, była galeryjka, na której stali nasi żołnierze. Każdy z nich brał do ręki swój mieczyk i pokręciwszy jakąś śrubkę, powiększał go do rozmiarów wielkiego garłacza.

W ciszy zupełnej z tych garłaczów zaczęły wylatywać półdostrzegalne grube iskry barwy złotej, raczej płomienie, które jakby świadomie leciały wprost na kamienny mur forteczny nieprzyjaciela.

Kamień ulegał przedziurawieniu, chwilowo syczał, jakby się w nim coś gotowało, po czym robił się czerwony, jakby się palił wewnątrz bez płomienia; potem białł przepalony do szczytu i rozpadał się na popiół.

Niecałe pół godziny trwało to burzenie fortecy: armaty na murze ustawione ulegały tym samym wpływom rozkładu, co granit. I one również w proch się rozsypały. Nieprzyjaciel został odsłonięty.

Wówczas nasi żołnierze ulecieli w powietrze. Zresztą jedna tylko setka się uniosła w górę; inni pozostali w fortecy.

Spłynęli na ziemię w pewnej niewielkiej odległości od nieprzyjaciela (który fikcyjnie nie umiał latać po powietrzu) – i ruszyli przeciw niemu, doprowadziwszy mieczyki do dawnej normy.

Nieprzyjaciel zaczął strzelać ze swych karabinów, ale każda kula o jeden milimetr od naszego żołnierza zatrzymywała się w biegu i upadała mu u nóg na ziemię.

Nasi natomiast podnosili mieczyki swe i wyrzucali z nich (bezgłośne) iskry złote, które jakby świadomie uderzały w nieprzyjaciół.

Każdy uderzony padał na ziemię, co miało znaczyć, że jest trafiony, ranny, zabity itd. I niewątpliwie byłoby tak, gdyby nie ów stalowy pancerz nirwidialny, który go uchronił od niebezpieczeństwa.

Misericordia jest bezsilna wobec człowieka, zbrojnego na sposób Suriawastu.

Manewry te były małym obrazem bitwy z tą różnicą, że czy to Kalibany, czy Telury, nie mieli naszego kostiumu i dlatego w razie uderzenia misericordią – ginęli natychmiastowo, przy czym każda iskra, przelatując od człowieka do człowieka, unicestwiała ich naraz całe setki.

Pięciuset Słońcogrodzian było dość, aby unieszkodliwić sto razy większą armię.

Uderzenia Słońcogrodzian były trojkiej siły i każdy mógł je miarkować podług trzech linii na mieczu: uderzenie słabe ubezwładnia wroga kontuzją dwutygodniową, która mija bez śladu; uderzenie średnie wali na ziemię i wprowadza w sen trzymiesięczny, z którego uśpiony budzi się, ale jeszcze przez pewien czas krąży po świecie odurzony i półprzytomny; uderzenie mocne zabija, spala i w proch rozsypuje w ciągu czterech minut.

Najczęściej używają Solarowie uderzenia średniego, gdyż zupełnie im wystarcza odebrać wrogowi moc czynienia

złego, zachowując życie: sen trzymiesięczny półmilionowej armii gwarantuje, że wojna nieprędko się powtórzy.

Nie ma tu rannych ani zabitych: są tylko uśpieni.

Trzeba zaznaczyć, że Telury w razie bitwy, choć wiedzą, co im grozi, trwają na stanowisku do ostatka; Kalibany – przeciwnie bardzo łatwo tył podają i w ten sposób unikają klęski, choć ich wartość bojowa staje się równa zeru.

Nadto nigdy w prawdziwej bitwie Solary nie walczą na polu, lecz rzucają swe iskry z powietrza.

Tym sposobem również mogą niszczyć flotę nieprzyjacielską, choć sami wcale floty nie mają.

Telury mają też aeroplany, zakupione w Europie, ale nasi łatwo dają sobie z nimi radę.

Nazajutrz miała się rozpocząć wojna. Jaka była przyczyna wojny? – na to pytanie odpowiedziano mi w ten sposób:

– Najważniejszą przyczynę stanowi grupa Słońcogrodzian, niezadowolonych z naszego trybu życia.

– Alboż są tacy?

– Bezwarunkowo. Jest to opozycja, która powstała skutkiem propagandy niejakiego Czarwaki. Ten, działając wśród młodzieży, a także i ich matek, sprawił, że corocznie pewna część zarówno chłopców, jak dziewcząt, nie chce się poddać operacji odcieleśnienia i pragnie pozostać w stanie pierwotnym. Z drugiej strony, różne elementy grzeszne i występne, pod wpływem przewagi sił ciemnych przewyciężają w sobie astral – i powracają do stanu cielesnego albo, jak my to zowiemy, do stanu upiorów. Owóż zarówno jedni, jak drudzy są wysyłani do pewnej miejscowości, zwanej Kalana – i tu mają wyznaczony pobyt. Staraliśmy się im urządzić życie w stosunku do ich potrzeb, ale ci, zamiast pracować na miejscu, wolą zajmować się łupieżstwem i rozbojem, co u nas jest niemożliwe, a ponieważ

miejscowość ta leży blisko granicy Telurii, przeto Kalanowie uprawiają zbójectwo w ziemi Telurów. Z tego też powodu Telurowie znów napadają na nasz kraj i robią nam niesłychane przykrości. Postanowiliśmy więc naprzód ukarać Telurów, a potem zaraz po wojnie przenieść naszych Upiorników do środka kraju.

– Dużo też ich jest?

– Koło dziesięciu tysięcy. Wiele matek w chwili ostatniej zakłada protest łez przeciw odcieleśnieniu dziecka i uchodzi do Kalany.

– Czemuż nie ukarzącie w jakiś sposób Czarwaki?

– Ma on swobodę słowa i nie możemy zakazać mu, by myślał i mówił, jak uważa. Chcemy dokładnie poznać jego idee oraz metody, aby go zwalczyć należycie.

– A kiedy zaczynacie wyprawę wojenną?

– Jutro nad ranem.

– Czy nie mógłbym z wami pojechać?

– Niepodobieństwo. Do granicy jest sto siedemdziesiąt siedem kilometrów, my tam będziemy za dwadzieścia minut; ty zaś mógłbyś tam być dopiero za sześć godzin. Jeżeli jednak chcesz, to możesz pojechać, choć zobaczysz niewiele.

– Owszem, jak najchętniej. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego zarazem Kalibany z wami walczą?

– Kalibany znajdują się w przymierzu z Telurami i obowiązani są w każdej wojnie im dopomagać. Podobnież i Telury Kalibanom. Ale nasza armia wystarczy na dwa fronty.

VII

O godzinie piątej byłem już w domu z powrotem i chciałem odwiedzić Wiśwamitrę. Dowiedziałem się jednak, że już w mieście go nie ma – i że zaraz po ślubie oboje małżonkowie, czule się pożegnawszy, rozeszli się na zawsze; ojciec Sakuntali udał się do lasu Kiszkinda o siedem-osiem kilometrów od Suriawastu, jego żona zaś zamieszkała w innym lesie. Słowem, na starość Wiswamistra został pustelnikiem, jak to wielu tutaj czyni i Sakuntala również została pustelnicą.

Są tu lasy, w których przebywają starcy – mężczyźni – oraz inne – pustelnie kobiece. Zazwyczaj lasy te nie są zbyt oddalone od siebie.

Postanowiłem zobaczyć się z Wiśwamitrą, aby z nim jeszcze porozmawiać, gdyż miałem pewne wątpliwości.

Siadłem do swego wózka i pierwszy raz ośmieliłem się samodzielnie puścić w drogę; do lasu Kiszkinda prowadził gościniec prosty, zresztą wózek doskonale znał wolę i wiedział, dokąd jechać.

Nie umiałem tylko puścić go w ruch tak pospiesznie, jak to robiła Damajanti, której cudowne oczy, i smętny uśmiech, i cała postać nagle mi się przypomniały – i znów... Lenora...

Pogoda była piękna, skwar, dokuczliwy na ulicach miasta, tu znacznie był łagodniejszy. Jechałem wśród szerokich pól i zagajników, a droga była wysadzona drzewami figowymi, cedrami i palmami. Ludzi spotykałem na drodze

niewielu, gdyż większość była w polu – i słychać było z daleka pieśni ludzkie, którym towarzyszyły śpiewy ptaków: odzywały się kosy i wiewiołgi, a także zaczynały swe tryle kukułki indyjskie, których głos przypomina pienie słowika.

Ci z obywateli, których spotykałem na drodze, witali się ze mną bardzo przyjaźnie: wszyscy o mnie wiedzieli, gdyż wieści łatwo się tu rozchodzą. Prawie u samego wejścia do lasu Kiszkinda spostrzegłem kompleks dość dużych domków, otoczonych ogrodem i parkanem; jak mi wyjaśnił jeden z przechodniów – była to szkoła. Zamierzałem odwiedzić ją później.

Kiedy już byłem w lesie, postanowiłem dowiedzieć się, gdzie zamieszkał nowo przybyły pustelnik. Las to był gęsty, przeważnie cedrowo-figowy i gdym się znalazł w jego głębi cienistej, z lekka wilgotnej, jakimś tchnieniem odwieczności przesyconej, doznałem wrażenia, jakiego zwykle doznaję, gdy wchodzę do puszczy; zdawało mi się, że stanąłem w jakiejś pierwotnej, tajemnicze szemrzającej świątyni; ani na stepach, ani na polu, ani w górach, ani nawet na morzu człowiek nie jest tak blisko Boga, jak w puszczy.

Zasłuchany w szum, którym się kołysały gałęzie lasu, jechałem ścieżkami coraz dalej w gęstwiny, aż na koniec trafiłem na szereg drewnianych domków, rzadko rozstawionych. Mieszkali w nich pustelnicy. Byli to starcy, którzy dla tych czy innych powodów opuszczali społeczeństwo i gotowali się do wielkiego aktu śmierci.

Jeżeli mówię starcy, to dlatego tylko, że u nas ludzie w tym wieku co oni (lat 70–80) uważani bywają za starców. W gruncie mieli oni lekkość i elastyczność mężów w pełni rozwoju, gdyż Solarowie do ostatka konserwują siłę umysłu i rzeźkość ciała, a marazm starczy jest tu nieznan.

Zachowali oni zwyczaj pustelnicstwa z dawnej epoki braminizmu, zarzucili jednakże te umartwienia jałowe, którym

jeszcze dziś oddają się asceci w Indiach. Celem ich jest oderwać się od spraw życiowych, które może są tu mniej dokuczliwe i natrętne niż u nas, a jednak rozpraszają myśl w ten sposób, że człowiek nie może rozmawiać z bogami tyle, ile by pragnął.

Dookoła stały w pewnym oddaleniu od siebie chaty.

Znalazłem na koniec Wiśwamitrę. Sąsiedzi przyszli i pomagali mu w urządzeniu chaty, która jeszcze nie była należycie przysposobiona na jego przyjęcie. Chaty to były maleńkie, czasami z jednej, czasami z dwóch izb, dla dwóch osób złożone; zawierały sprzęty najprostsze. Na ławie przed chatą siedziało paru pustelników, a między innymi Wiśwamitra: widocznie go tak życzliwie witano. Miał tu oczywiście немало znajomych; rozpytywali go o przeszłość, o powody, dla których osiadł w lesie, o główny przedmiot jego rozmyślań, o jego cele. Wiśwamitra spokojnie im na to wszystko odpowiadał, a gdy mnie zobaczył, powstał i jakby ku mnie spieszył. Byłem trochę onieśmielony na widok tylu mężów, którzy zerwali ze światem i zagłębieni w sobie, szukali prawdy. Jednakże sam pobiegłem w jego stronę i ukłonem powitałem zarówno jego samego, jak i innych obecnych tu pustelników.

On w kilku słowach wyjaśnił ich o mojej osobie – i widziałem, że jednak byli mną zainteresowani.

– Pozwoliłem sobie – mówię do niego – niepokoić tu ciebie, gdyż wielkie tajemnice, które mi powiedziałaś, zawierają w sobie punkty dla mnie wątpliwe. Nie sądziłem przy tym, że już zaraz po ślubie z żoną się rozłączysz i niejasne jest dla mnie, dlaczego to uczyniłaś. Widzę zaś, że niejeden tu jest, który tak samo jak ty postąpił i że licznych masz towarzyszków. Czy jesteś życiem zmęczony? Czy cię zbyt napęłniło gorczyca? Czy szukasz tu nowej drogi żywota?

– Bynajmniej. Com miał dla ludzi wykonać, wykonałem. Ale pierwsza rzecz dla każdego człowieka to dostojnie przygotować się na śmierć. Pewnie, że całe życie nasze to droga ku tej chwili ostatecznej i że żyć to nic innego nie znaczy, jeno umierać co chwila, bo każda chwila, która w przeszłość bezpowrotną zapada – to umarła chwila naszego życia. Ale nadchodzi moment, gdy jesteśmy coraz bliżsi wielkiej godziny rozstania się z tą ziemią na zawsze. Wtedy jedna rzecz nam pozostała najwyższa: kontemplacja tej przemiany, w której objawi się nam wielkie wszystko i wielka nicość bytu. Dlatego to rozstałem się z żoną, z ludźmi, z miastem – i chcę być sam ze sobą – w towarzystwie takich tylko, którzy do tegoż samego celu dążą, co i ja. A szanowni ci mędrcy znają wartość samotności i nie narzucają nigdy nikomu swego towarzystwa. Szukam spokoju.

– Rozumiem, rozumiem dobrze to uczucie, którego w naszych europejskich stosunkach nikt zaspokoić nie może. I nie chciałbym ci samotności naruszać, jeżeli jej pożądasz, ale pragnąłem raz jeszcze zobaczyć się z tobą i jeszcze z tobą pomówić. Czy pozwolisz?

– Owszem. Miło mi będzie. To pierwszy dzień mego pustelnicstwa. Jeszcze przez pół jestem w mieście. Czego pragniesz?

– Chciałem ci zadać kilka pytań: pierwsze, nieco obojętne, co znaczy twój urząd, bo go nie bardzo rozumiem. Drugie – dotyczy miłości człowieka i waszego stosunku do innych gromad ludzkich. Trzecie, związane z tym drugim – dlaczegoście, wiedząc o straszliwej wojnie, jaką w tej chwili prowadzą ludy europejskie, nie stanęli po jednej albo po drugiej stronie, albo nie rozwiązali jej sami, mając tak potężny środek, jak wasza misericordia.

– Odpowiem ci chętnie na każde z pytań, jakie mi zadałeś. Życie ludzkie płynie na dwojgu skrzydłach: jednym z

nich jest pamięć, a drugim zapomnienie. Pamięć działa jako potęga świadoma, w zapomnieniu giną pewne pierwiastki, które żyją w sferze zwanej u was podświadomą. Ale to, co się zowie świadomym, z tym, co jest podświadome, łączy się w jedno – i nigdy to, co jest zapomniane, nie bywa w pełni zapomniane. W momencie, gdy nasz duch tego żąda, zapomniane się zjawia i staje się mocą pamiętną. Otóż ten moment naszej woli – to moment geniuszu twórczego. Jedną z form pamięci jest prawda, złudzenie jedną z form niepamięci. Twórczość – to umiejętne połączenie pamięci z niepamięcią. Ponieważ zaś w naszym społeczeństwie geniusz twórczy jest siłą, która działa nieustannie i bez przerwy, przeto konieczny był urząd, który by niejako był termometrem tych falowań prawdy i złudzenia, jakie poruszają naszych marzycieli. Nieraz bowiem sen, złudzenie, marzenie bywa prawdą wyższą i doskonalszą niż to, co nam podsuwa pamięć, świadomość i rozum badawczy. Czy ci to jasne?

– Jasne zupełnie i dziękuję. A teraz drugie pytanie: o ile mi się zdaje, uważacie za główne źródło zła egoizm. Istotnie – w swoim własnym środowisku, rzecz można, zwalczyliście egoizm. Ale, jeżeli zdobyliście sobie pewną wyższość i szczęśliwość w swoim kole, dlaczego zamykacie się w sobie i nie dopuszczacie innych do tej wyższości? Czy to nie jest egoizm? Wiem, że jutro zaczyna się wojna z Telurią: czy nie byłoby raczej lepiej narzucić im wasze ustawy i wciągnąć ich w obręb waszego wyższego istnienia?

– Na to ci odpowiem krótko: jest u nas pewna grupa, która do tego dąży, ale narzucić paru milionom ludzi nasz tryb egzystencji – jest to zadanie, którego jak na teraz nikt u nas nie rozwiązał należycie. Wymaga to czasu, nie zapominaj, że i u nas jeszcze nie ze wszystkim przyjęły się idee, które nasi mędrcy ogłosili. A cóż dopiero wśród ludów obcych, które wiekami nawykły do innego bytu. Pomyśl sobie, że byśmy

chcieli nasze normy narzucić Anglikom: żyją oni w gruboskórnym a bezwzględny egoizmie, oddychają powietrzem nieustannych walk i interesów, drukują książki i gazety – i naraz my byśmy ich mieli tego wszystkiego pozbawić. Ależ całe ich życie straciłoby swoją podstawę logiczną: powstałby chaos. Telury uważają, że ich urządzenia są najdoskonalsze, a Kalibany zapewniają, że jak oni się wezmą do reform, to zrobią to lepiej, niż my; niektórzy, co do nas przyjeżdżali, zaraz chcieli u nas wszystko poprawiać. Jedyna rzecz, którą ci czy owi chcieliby od nas otrzymać, to nasze misericordie i nasza maszyna nirwidialna. Ale dać takie rzeczy w ich ręce czy w ręce Anglików – to znaczy narazić świat na jakieś niesłychane nieszczęście, bo nic by ich nie powstrzymało od nadużycia i zbrodni.

– A więc dobrze – nie odsłaniajcie im tajemnicy, ale wiecie wy, ilu ludzi zginęło w czasie tej z górą pięcioletniej rzezi? I wy najspokojniej się temu przyglądacie? I nie powstrzymaliście tej okropnej wojny?

– Żadna wojna nie wybucha sama przez się. Zazwyczaj bywa ona rezultatem grzechów ludzkich, stuleciami nagromadzonych. Świat wasz (my znamy waszą historię) popełniał zbrodnie i chciał je łamać i usuwać za pomocą nowych zbrodni. Żaden Bóg na świecie nie może cofnąć czynów, które się stały, i zmienić ich w niebyłe. Jest to granica wszechmocy bożej. Wojna, którą między sobą prowadzą Anglicy jest wynikiem tysiąca czynów minionych, których żadna siła nie przekreśli i nie cofnie. Przeznaczenia muszą się dokonać. Jest tajemnicza ręka, która, poprzez te rzezie, prowadzi świat do swoich celów, innych niż cele, jakie sam człowiek sobie postawił. Oto przyczyna, dla której Suriawastu stanęła w czasie tej wojny na uboczu.

Odpowiedź ta była mi nieco przykra, gdyż wydawała mi się sucha i nieubłagana zimna, ale czułem w niej jakby głos

wielkiego prawa Karmy. Podziękowałem staremu i jeszcze chciałem go o coś zapytać, gdy nagle, niedaleko nas, zwróciła moją uwagę grupa młodych ludzi, którzy mieli w ręku lutnie i otaczali jednego ze starców. Ten, siedząc pod gęstą figą, coś przemawiał rytmicznie, oni zaś natychmiast jego słowa powtarzali, przygrywając na lutni. Później starzec przestał mówić, oni zaś, już to chórem, już to na pojedyncze głosy się podzieliwszy, śpiewali w całości te rytmiczne słowa, które on przedtem wygłaszał częściami. Zaciekawiony, co to takiego, pytałem Wiśwamitrę: starzec, przemawiający rytmicznie, był to poeta, który tworzył poemat, a ci młodzi ludzie – to rapsody, którzy na pamięć się uczą jego pieśni i recytują je wśród ludu. Dowiedziałem się przy tym, że poeci tu nie piszą swoich utworów, ale je wygłaszają. Zauważyłem też, że w ogóle książek tu jest mało – i te po większej części z dawnych czasów pozostały. W szkole na przykład cała wiedza streszczoną jest w jednej książce, a filozofowie wykładają swe systemy w skondensowanych krótkich aforyzmach. Nieznane tu jest prawie ślęczenie po bibliotekach: o ile kto chce widzieć, czy to kraje dalekie czyli wieki zamierzchłe – telepatycznie w nie przenika i wszystkie potrzebne mu wiadomości tą drogą zdobywa. Co się tyczy poezji – to krąży ona po świecie – jak u nas tzw. pieśń ludowa, i jest tak samo bezimienna. Nigdy nikt nie wie, czyim jest utworem najbardziej rozpowszechniona powieść czy poemat.

To, co wygłaszał nasz pustelnik, była to pieśń na chwałę odcieleśnienia i wyzwolenia ducha z więzów materii.

Podziękowałem Wiśwamitrze za jego łaskawość względem mnie i zaznaczyłem jeszcze, że w pobliżu lasu widział budynek szkolny: czy mógłbym go zobaczyć? Wiśwamitra zwrócił się do dwóch młodych rapsodów, aby mnie do szkoły zaprowadzili. Zbliżyli się do nas i powitali ze mną serdecznie. Byli to młodzi chłopcy, którzy niedawno

szkołę opuścili i niedawno ulegli odcieleśnieniu; jeden zwał się Orota, drugi – Kaspera. Gdym się pożegnał z moim mistrzem i całym gronem pustelników, wyszedłem na ścieżkę leśną, gdzie stał mój wózek; Orota siadł wraz ze mną, a Kaspera poleciał powietrzem. W niedługim czasie byliśmy przed wrotami szkoły. Było już koło siódmej i lekcje były skończone; chłopcy, od lat ośmiu do osiemnastu, byli zgromadzeni na dziedzińcu i oddawali się zabawom i igrzyskom. Mistrze gimnastycy czuwali nad nimi. Chłopcy bowiem już to grali w piłkę, już to gonitwy urządzali, już to ćwiczyli się na reku, na kołach rzymskich, na trapezie itd. Gimnastyka mało czym różniła się od naszej. Jeden z dyrektorów szkoły, poznawszy swoich uczniów (owych dwóch rapsodów) oraz widząc nieznanego cudzoziemca, pospieszył ku nam, a gdym swoją prośbę mu przedstawił, chętnie mi udzielił różnych informacji. Szkoła, którą zwiedzałem, była pod zarządem ministerium Mądrości; kurs był dziesięcioletni. Wewnątrz ogrodu miałeś szereg budynków; w każdym były dwie klasy oraz mieszkanie wychowawców. Nadto było kilka domów dla rodzin nauczycieli. Oglądałem szkołę wewnątrz: zważywszy, że ta młodzież jest w stanie czysto ludzkim, odpowiednio też ją urządzono; powiedziałbym nawet, że za wzór musiały jej służyć szkoły europejskie. Żałowałem bardzo, że nie mogłem się rozmówić z dziećmi, gdyż mówiły one nie-astralnym językiem i dźwięki ich mowy były dla mnie niezrozumiałe. Natomiast mistrz Aczaria pouczył mnie o tutejszym systemie wychowawczym: zasadniczą rzeczą jest tu poddanie uczniów pod wpływy psychoplastyczne, to znaczy rozwijanie zdolności medialnych; dzieje się to za pomocą działania hipnotycznego, przy czym jednak baczy się, aby młodzież nie zatraciła własnej woli i indywidualności; poza tym mistrze dbają wysoce o rozwój fizyczny swych uczniów, dlatego w szkołach

uprawiano gimnastykę, sport wszelkiego rodzaju, a także muzykę i taniec; trzecim ważnym przedmiotem była nauka rzemiosł i każde dziecko pracowało w jakimś warsztacie; na czwartym planie stały nauki pamięci, orientacji, rozumowania, dialektyki, wyobraźni itd., rozwijane w zwykłych przedmiotach szkolnych, których esencja była streszczona w jednej książce – w krótkich zdaniach, niby w formułach algebraicznych. Była to nauka wszechstronna bez balastu i głęboka bez nadmiaru słów. Nadto przy samym wstąpieniu do szkoły badano barwę, ton i melodię duszy ucznia; co roku badanie to powtarzano tak, iż każda szkoła miała najdokładniejszy obraz psychometrii swoich wychowañców. Dane te miały znaczenie na przyszłość, choćby w ministerium Miłości. Szkoły chłopców i dziewcząt były odrębne i zazwyczaj w odrębnych miejscowościach, kurs nauk był zresztą zupełnie taki sam.

W towarzystwie Oroty i Kaspery powróciłem do Suriawastu; było już po zachodzie słońca i zbliżał się wieczór. Miałem zaś jutro o świcie wyruszyć ku granicom Telurii: odpoczynek był mi bardzo potrzebny i spieszyłem do domu. Młodych rapsodów przedstawiłem Wasiszcie: ci zaś – po krótkiej rozmowie – jęli śpiewać nową pieśń, której się nauczyli o szczęściu wyzwolenia duszy z więzów ciała.

Nazajutrz o świcie armia Słóncogrodzian podzieliła się na dwie dywizje po pięciuset ludzi, z których jedna popłynęła w stronę Telurii, druga w stronę Kalibanii. W powietrzu błękitna stal ich kolczug tak się zlewała z otoczeniem, że byli wprost niewidzialni; wydawali się niby chmurą błękitną, zwłaszcza, że sunęli po niebie bez najmniejszego szmeru.

Co się mnie tyczy, to z jednym obywatelem Republiki Słonecznej siadłem do samochodu i w najwyższym pędzie pojechaliśmy w stronę Telurii.

Byłem tam po sześciu godzinach jazdy. Wzmacniałem się po drodze winem diamentowym tak, że gdyśmy stanęli na miejscu, najmniejszego nie czułem zmęczenia.

Stałem nad samą granicą Telurii i mogłem się przyjrzeć temu krajowi, wcale różnemu od naszej Cittá del Sole.

Muszę zaznaczyć, że dwustu pięćdziesięciu naszych żołnierzy spotykałem w tym miejscu: czekali na dalsze rozkazy. Połowa dostateczną była do prowadzenia wojny.

Ponieważ, jak to wiemy, nasi republikanie byli obdarzeni siłą telepatyczną, byli zatem nieustannie uświadamiani o ruchu armii i jej sukcesach.

Nadgraniczna forteca Łob-kam-por została zburzona; armia naczelnego wodza Telurów leżała uśpiona (10 000 ludzi) i bezwładna.

Aliskanda – nasz główny dowódca – zajął dość obszerny pas kraju. Telurowie musieli się cofnąć.

Nazajutrz druga część armii ruszyła naprzód na terytorium obce, któreśmy okupowali. Przywykli do posłuchu Telurowie, skoro tylko zobaczyli obce wojsko, bez oporu przyjęli naszą okupację.

Telurowie są rasy oliwkowo-żółtej, są bardzo inteligentni, pracowici i przemyślni. Są przy tym czysti i gospodarni.

Na koniec, co najważniejsze, są znakomicie karni i zorganizowani; są posłuszni władzy i wszelkie przepisy dla nich są czymś sakramentalnym i niezaprzeczoną.

Doprowadzili się kilkowiekową dyscypliną do takiego stanu, że działają jak maszyny.

Rząd ich jest rodzajem królestwa absolutnego: władca, mający radę przyboczną złożoną z ludzi doświadczonych, wydaje rozkazy, które są natychmiast słuchane przez cały naród.

Trzeba przyznać tym władcom, że dzięki ustawie zasadniczej postępują logicznie, i choć logika również jest mechaniczną, władzy swej nie nadużywają.

Telury, rzec by można, jest to kraj automatów: monarcha równie automatycznie rządzi, jak obywatele automatycznie żyją, armia zaś automatycznie walczy.

Mają oni wielkie poczucie obowiązku – i praca stała się tak nieodpartą potrzebą ich życia, że pracują nieustannie i bardzo dokładnie i bardzo wiele produkują.

Widziałem tu wielką liczbę warsztatów rozmaitych, targowisk po wsiach i miastach.

Są też koleje żelazne, które tu budowali Anglicy, gdyż prowadzą oni dość ożywiony handel z Telurami.

Domki po wsiach są ładne i czyste; bujne są pola uprawne ryżu, pszenicy, kukurydzy, herbaty, kawy itd.

Wszędzie porządek, czystość, praca, gospodarność, oszczędność – i nuda, nuda! Nuda przeraźliwa unosi się tu w powietrzu ponad wszystkim... Dusza ludzka tu zamarła.

Armia nasza powolnym i niskim lotem zajmowała kraj, pozostawiając dwóch-trzech ludzi w każdej ważniejszej miejscowości.

Nie był to zbyt ciężki ucisk, gdyż wszędzie pozostawiano rząd, organizowano milicję miejscową, a rekwizycji żadnych nie robiono, ile że naszej armii było to niepotrzebne.

Z przyczyny powolnego teraz ruchu Solarów mogłem za nimi zdążyć bez trudu. Dowiedzieliśmy się, że naczelnik państwa – widząc niepodobieństwo walki przeciw naszym metodom wojennym – gdyż miał już blisko sto tysięcy żołnierzy uśpionych – zaproponował pokój. Dowódca nasz, który dowiedział się telepatycznie, że armia kalibańska częściowo zginęła, częściowo poszła w rozsypkę, chętnie się

zgodził na pokój, gdyż wojnę uważaliśmy za *malum necessarium* i drogę do pokoju.

I tu zresztą żadnych warunków okrutnych nie postawiliśmy: ani jeńców nie brano, ani kontrybucji nie wymagano.

Rozeszliśmy się bardzo po dżentelmeńsku, a władca Telurów doszedł jeszcze raz do wniosku, że nadludzkim żołnierzom republiki Słonecznej sprostać nigdy nie będzie w stanie.

Po trzech dniach wojna była skończona, pokój zawarty – i większość powróciła do Suriawastu.

Ale pięćdziesięciu żołnierzy i ja z nimi w swoim wózku wyruszyliśmy do Kalany. Mieliśmy nakaz zgromadzić wszystkich Upiorników znad granicy i przenieść ich w centrum kraju do pewnej doliny wśród Gór Zielonych.

Część zbuntowanych wiedziała już o tej wyprawie i rozproszyła się po lasach, a niektórzy wprost emigrowali do Telurii, aby już do nas nigdy nie wracać.

Armia nasza dotarła w rychłym czasie do Kalany, gdzie znaleźliśmy nędzne chałupy, wielkie niechlujstwo i kompletny brak jakiegokolwiek kultury. Niektórzy twierdzą, że nawet u Kalibanów lepszy jest porządek.

Corruptio optimi pessima: nadludzki typ Słońcogrodzian, spadając ze swej wyżyny, spada niżej najniższego typu.

I tu nasi żołnierze użyli swej misericordii; biorąc uderzenie najśłabsze, zadawali napotkanym Upiornikom kontuzje, które im odbierały możliwość jakiegokolwiek działania na przeciąg dwóch tygodni.

Tak ubezwładnionych gromadzono na wozy i przewożono do nowego osiedla w dolinie Gór Zielonych.

Dwa dni trwało to polowanie; niejeden zapewne krył się jeszcze w lasach, owóz co do tych nakazano obywatelom

miejscowym, aby ich w ten sam sposób w razie spotkania ustrzelić i przewieźć.

Istniał zamiar urządzenia ich w formie kolonii karnej i domu poprawczego, zorganizowanego jak warsztat lub ferma.

VIII

Prawie cały tydzień byłem nieobecny w Suriawastu. Kiedy powróciłem, serdecznie dziękowałem temu panu, co się podjął być moim woźnicą przez cały czas mej podróży.

W mieście był wielki ruch. Samochody krążyły po wszystkich ulicach, a w każdym wiele młodzieży: chłopcy lat 18, dziewczyny lat 15.

Niejednemu z tych dzieci towarzyszyły matki, ale większość przybywała pod opieką mistrzów-nauczycieli ze szkół, które w znacznej części znajdowały się na prowincji.

Nazajutrz miał się odbyć uroczysty obrzęd podniesienia 147 młodych istot ludzkich do stopnia ducha zmaterializowanego.

Nie można powiedzieć, aby wszyscy byli bardzo zadowoleni z tej uroczystości; owszem, i wśród dzieci, i wśród matek było widoczne pewne zatroskanie, niepokój, smutek. Niejedna z kobiet płakała.

Ale większość, owszem, była raczej zaciekawiona i rozradowana. Jak to już wiemy – w wychowaniu szkolnym w naszej republice nader ważną rolę odgrywa sugestia i hipnotyzm oraz tak zwana psychoplastyka.

Od najmłodszych lat dzieci bywają w ten sposób ćwiczone, że bez urażenia woli własnej oraz indywidualności – są jakby pod władzą pewnej siły psychicznej zewnętrznej i mają dusze tak nastawione, że tego momentu „powtórnych narodzin” oczekują jak zbawienia.

Przy tym, widząc od dzieciństwa owe moce nadprzyrodzone, jak przesyłanie myśli na odległość,

jasnowidzenie, dalekowidzenie, latanie po powietrzu i tym podobne moce, które są właściwością odcieleśnionych, a które im w stanie obecnym są niedostępne, młodzi ludzie gorąco pragną także same posiadać zalety, a bez dematerializacji ciała jest to prawie niepodobieństwo.

Toteż ci, spragnieni wyższości, z pieśnią tryumfalną na ustach przejeżdżali ulice, jakby żegnając mury więzienne ciała, z którego mają się wydostać.

Wszyscy kierowali się w stronę świątyni Mądrości, gdyż tam odprawiano uroczystość odrodzin. Koło świątyni był budynek, w którym kandydaci mieli noc przepędzić i ostatnie ćwiczenia mediumiczne przerobić w towarzystwie mistrzów magnetyzerów, do tego celu wyznaczonych.

Są jednostki bardzo odporne na wpływy magnetyzmu i nie wszyscy jednego dnia mogą być zoperowani.

Zazwyczaj przede snem młode media zarząd świątyni raczy skromną ucztą: mleko, owoce, słodczy, wino specjalnie przysposobione stanowią esencję tej uczy, której sens polega na tym, że podatność na magnetyzm staje się większa.

O świcie miała się rozpocząć uroczystość; młodzież podzielono na grupy, przy czym dziewczęta pomieszczono osobno i osobno chłopców. Ponieważ cieszyłem się tu szczególną łaską, jako rzadki cudzoziemiec, pozwolono mi asystować przy akcji dematerializacji mediów.

Świątynia Mądrości, w której miała się odbyć cała ta sprawa, oprócz głównej nawy, zdobnej posągami Ganesy, boga wiedzy (rodzaj to Hermesa Trismegista) – posiada liczne komnaty podziemne, kolisto zbudowane koło pewnego centrum.

W owej sali centralnej mieści się zbiornik złoto-zielonej wody nirwidialnej oraz rodzaj stosu, na którym goreje bez płomienia purpurowy ogień, przypominający światło

elektryczne. Izby podziemne wszystkie mają drzwi prowadzące do tej sali centralnej.

Oczywiście tylko w jednej izbie mogłem być obecny. Panował w niej półmrok błękitny, a pod ścianą stało siedem stołów, jakby szklanych, podobnych nieco do stołów operacyjnych w szpitalach.

Siedmiu młodych ludzi osiemnastoletnich wprowadzono do tej izby; byli zupełnie obnażeni, pięknie zbudowani, a choć widoczne było, że to są prawie dzieci, jednakże z ich twarzy można było wyczytać znacznie większe głębie, niż to bywa u naszych dzieci.

Rzecz prosta, że ciągle obcowanie z istotami uduchowionymi, jakimi są mieszkańcy Suriawastu, podnosi duchowość tej młodzieży na znacznie wyższy stopień.

Dlatego przejście do tego stanu astralnego, w jakim żyje tu starsze pokolenie, bywa przez nich witane ochotnie, jako „drugie narodziny”.

Są oczywiście jednostki odporne, żądz poziomych niewolnicy i skłonniejsi do uciech niższego rodzaju; ci albo z czasem ulegają sile mediumicznej swych magnetyzerów, albo są wysyłani do doliny Gór Zielonych, jako niepoprawni.

W sali, do której zostałem wpuszczony, panował półmrok szafirowy i przygrywała cicha, łaskocząca i ubezwładniająca muzyka.

Każdy z młodzieńców położył się na szklanym stole i nad każdym z nich stanął mistrz magnetyzer.

Zdawało mi się, że jestem na zbiorowym seansie mediumicznym.

Ci magnetyzerzy byli to ludzie fluidyczni, którzy po swym odcieleśnieniu specjalnie oddali się pracy nad tajemniczymi siłami natury.

Przypomniała mi się Miranda – i moja teoria, która twierdzi, że w miarę dematerializacji medium materializuje się

zjawia. Z zaciekawieniem też przyglądałem się temu, co miało nastąpić.

Zważywszy, że oczy Solarów mają daleko większą skalę twórczą, niż nasze, łatwo zrozumieć, że ich siła magnetyczna przerasta siłę podobną którego bądź znanego nam w Europie magnetyzera.

Z oczu ich płynął jakiś potężny ogień, który się kondensował w postaci iskry czerwono-złotej. Ta iskra, uderzając w oczy medium, usypiała je momentalnie – i z wolna kandydat zapadał w sen kataleptyczny.

Po jakimś czasie z ciała uspionych wyłaniała się bezforemna biała masa, która po kwadransie przybierała postać ludzką, a jednocześnie nogi i ręce medium znikły bez śladu; postać widmowa stała chwilę koło szklanego stołu, jakby chcąc powrócić do swej siedziby pierwotnej.

Ale magnetyzer wprowadzał medium w stan hiperkatalepsji – i wtedy kolejno dematerializował się kadłub i cały organizm; najdłużej trwała głowa i serce, które było osłonięte zimnym kompresem.

Tymczasem astral, który się wyłonił z medium, stawał się coraz realniejszy.

Ale był to dla magnetyzera moment największego wysiłku, gdy ciało kandydata znikło zupełnie i gdy na stole operacyjnym nie leżało już nic, a natomiast tuż obok stołu widzialny był zjaw widmowy, o oczach błyszczących, choć zdumionych; o mocno bijącym sercu i wysokiej temperaturze ciała.

Jest to bowiem moment ostateczny, w którym astral pożąda w pierwszej chwili natychmiastowego unicestwienia swej istoty. Zdarza się czasami, że mimo najwyższy wysiłek magnetyzera, zjaw nagle znika, a na stole masz z powrotem ciało, które było tu pierwotnie.

W takim razie całą pracę trzeba rozpoczynać na nowo – i wtedy już widmo zniknąć nie może, a nawet, jak zauważono, nie chce już powrócić do swego więzienia.

Wówczas następuje akt drugi.

Zazwyczaj wszyscy kandydaci, w liczbie siedmiu, w jednym prawie czasie (około trzech godzin) zostają zdematerializowani i siedem widm astralnych, białych, eterycznych postaci ludzkich, nieświadomych ani siebie, ani świata, w który wchodzi, stoi w izbie magnetycznej; pozbawione są własnej woli i zdolności do działania. Ale mistrze czuwają, każdy nad swoim kandydatem. Każdy więc swemu widmu daje nakaz: Pójdź!

I otworzywszy drzwi do izby środkowej, prowadzą ich naprzód na ów ogień nirwidialny, w którym ich istota odcieleśniona „wulkanizuje się”, to jest utrwała tak, że choć to ciało jest znacznie subtelniejsze od naszego, to jednak posiada moc istnienia nie mniejszą, niż my posiadamy.

Bądź jak bądź temperatura widma jest tak wysoka, że mu grozi wyparowanie.

Dlatego natychmiastowo z ognia przenoszą je do kąpieli nirwidialnej, lodowatej jak woda przy 4 stopniach Réaumura. Ta kąpiel wodna wyrównywa braki kąpieli ogniowej, hartuje nowe ciało, i nowy człowiek się narodził.

Można powiedzieć tutaj słowami filozofa, że jest to *création propre de l'homme* – stworzenie człowieka przez samego siebie.

Nowo zrodzona istota jest przez jakiś czas nieprzytomna i nie rozumie zupełnie ani czym jest, ani gdzie się znajduje.

Raz jeszcze mistrz magnetyzer – zwykle po ośmiu dniach – w lekki sen tę istotę wprowadza i daje jej nakaz przypomnienia sobie wszystkiego, co dotychczas przeżyła i

czego się uczyła oraz zapomnienia tego, co powinno zginać w niepamięci.

Z tego snu powstaje astral zwulkanizowany, pełny życia i energii, inteligentny i wyższą intuicją obdarzony; nadto zmysły jego są daleko potężniejsze od naszych, gdyż telepatia jest dla niego nie zjawiskiem wyjątkowym, ale stałym prawem.

Przez jakiś czas widma żyją w podziemiach, a później (po dziesięciu dniach) wprowadzone zostają do społeczeństwa. Jak widzimy, cała ta ceremonia ma charakter bierzmowania.

Przed wszystkim ministerium Mądrości oddaje młodzież z powrotem zarządowi Miłości.

Tu odpowiedni wydział, zbadawszy temperamenty, falowanie barw, tonów i aromatów uczuciowych, każdemu z nowo narodzonych mężczyzn wynajduje kochankę, o czym już wspominaliśmy i wysyła ich do ogrodów Radziwa, gdzie jakiś czas młodzież przemieszkuje.

Są to zresztą dalsze wyniki całej tej ceremonii i o nich mówić tu więcej nie będę.

Kiedym opuścił komnaty podziemne, przechodząc przez główną salę świątyni, zauważyłem na bocznej ścianie dziwny rysunek, jakby z atlasu anatomicznego wyjęty.

Był to mianowicie kręgosłup z czaszką – i dokoła nich system nerwowy. Część nerwów była namalowana kolorem czerwonym, część zaś niebieskim.

Zapytałem jednego z magnetyzerów, który po swej pracy odpoczywał, co to znaczy?

– Jeżeli patrzysz na naszą budowę zewnątrz, to zauważysz, że pod względem anatomicznym nie różnimy się wcale od ludzi. Ale głębiej w sprawę wniknąwszy, znajdziesz wielką różnicę, która nam daje kolosalną przewagę nad ludźmi. Człowiek ma podwójny system nerwowy: jeden jest to

tw. system mózgo-rdzeniowy, stanowiący siłę motoryczną życia świadomego, myśli, ruchu, działania oraz tzw. splot słoneczny (*plexus solaris*), który kieruje życiem roślinnym człowieka, życiem podświadomym i nieświadomym. Owóż jak w mózgu koncentruje się inteligencja człowieka, tak w splocie słonecznym koncentruje się wszystko, co jest instynktem, przeczuciem i wszelkie moce tajemne człowieka. To, co Anglicy nazywają „media” – są to po prostu ludzie, których splot słoneczny jest bardziej rozwinięty, niż u innych. Przy tym ten plexus niejako pragnie wydobyć się z niższej sfery życia instynktowego i przedostać w sferę instynktów wyższych. Ta walka o wyższość występuje w splocie słonecznym już to w formie wielkich namiętności (na przykład żądź miłosnych), już to w formie talentów artystycznych, już to wreszcie w formie uzdolnień mediumicznych. Owóż ceremonia, którą widziałeś, ma przede wszystkim na celu wyzwolenie splotu słonecznego z jego stanowiska podrzędnego i przysposobienie go do wyższych instynktów. Instynkt niższy – to instynkt czysto zwierzęcy, który długie wieki człowieka nie opuszcza; instynkt wyższy – to intuicja, zmysł natchnień i objawień, wreszcie zmysł telepatyczny. Nie znaczy to bynajmniej, aby system mózgo-rdzeniowy miał zostać poniżony, pozbawiony swoich właściwości: bynajmniej, inteligencja nasza działa równie żywo jak przedtem, a nawet jeszcze żywiej, gdyż ją podsyca siła intuicyjna splotu słonecznego. Również energicznie działają wszystkie zmysły, które są u nas wydoskonalone, oraz wszystkie funkcje z systemem mózgo-rdzeniowym związane. Natomiast wyzwoliliśmy splot słoneczny z niektórych niższych obowiązków, jak na przykład zarząd kiszki, żołądka, wątroby itd., gdyż zredukowaliśmy konieczność jedzenia do minimum. Mamy za to wiele czasu do rozmyślań o Bogu i nieskończoności, a nadto jesteśmy wolni od tego maszynizmu,

w jakim żyją Anglicy. Każdy z nas jest sam sobie aeroplanem; sam sobie jest telefonem i telegrafem; możemy się porozumiewać ze sobą na odległość myślą i słowem; możemy się nawet widzieć na odległość. Stworzyliśmy sobie maszynę maszyn, która nam wszystkie rzeczy załatwia w sposób prosty i akuraty. Jak zaś pracują nasi artyści, to możesz zobaczyć dziś jeszcze, gdyż mój przyjaciel Ardżuna ma zrobić nowy posąg Trójcy, to jest Miłość, Mądrość i Potęgę w jednej postaci, który to posąg ma stanąć przed świątynią Słońca.

– Nie dziw – powiedziałem, choć sam sobie robiłem wyrzut z powodu lichoty mego kalamburu – nie dziw, że mieszkańcy republiki Słonecznej oparli swój rozwój na splocie słonecznym.

Po czym go zapytałem:

– Czyś już odpoczął? Czy moglibyśmy iść do Ardżuny?

Odpowiedział mi z uśmiechem:

– Po takiej operacji bywam zwykle bardzo wyczerpany i muszę kilka dni odpoczywać. Ale napijmy się wina, wzmocnię się trochę i pójdziemy. Ardżuna mieszka tu niedaleko, w dzielnicy Koziorożca.

Ruszyliśmy wkrótce w drogę i znaleźliśmy się w pięknym ogrodzie kwiatowym, a w nim stał parterowy miły dom, w którym jedna sala z wielkim oknem stanowiła pracownię. Mój przewodnik szepnął coś po cichu, i na ten szept, który widać wewnątrz usłyszano, drzwi się otwały i wyszła kobieta w sukni lila: była to Damajanti. Spuściłem oczy, serce mi drżało jakąś beznadziejną słodyczą. *Tanto gentile e tanto onesta...*

Niesłychana głębia była w jej oczach; pozdrowiła mnie życzliwie i powitała eterycznym pocałunkiem w czoło, aż mnie przeniknął dreszcz od stóp do głów!

Nie, coś tu się ze mną dzieje na tej wyspie! Czy nie przywrócić Damajanti do stanu człowieka-upiora? Albo może

samemu poddać się operacji odcieleśnienia i zostać obywatelem republiki słonecznej?

Byłem przekonany, że Damajanti nie jest względem mnie obojętna. Jej spojrzenie jest zbyt wymowne.

Czyż bogowie nie schodzili do kobiet ludzkich ze swych wyżyn? Małóż to niewiast ziemskich kochał Jowisz albo Kriszna? Czyż Tetyda nie była poślubioną śmiertelnikowi? Kalipso czyż nie kochała Odyseusza?

Czemużby nie miała Damajanti?... Co za obłąkanie!

W milczeniu szliśmy za gospodynią, która nas wprowadziła do pracowni swego małżonka. Był to właśnie Ardżuna.

Pozdrowiliśmy go, a mój przewodnik wyjaśnił mi bliżej cel mojej wizyty. Muszę stwierdzić, że Ardżuna nie był zadowolony z propozycji.

Pospieszyłem mu wyrazić swe uznanie dla jego stanowiska.

Bezwarunkowo artysta woli tworzyć w samotności – i jednocześnie przyszło mi do głowy zapytanie, co ma robić człowiek w kraju, gdzie nieustanna telepatia uniemożliwia ludziom wyodrębnienie swej jaźni i może stać się rzeczą nie do wytrzymania.

Ale to jest bardzo proste: każdy człowiek słonecznogródzki ze swej duszy, ni to jedwabnik ze swego organizmu, może wydobyć osłonę nieprzebytą i wtedy jest, że tak powiem, jakby zamknięty telefon: nikt go niepokoić nie może. Swoją drogą za wstawieniem Damajanti Ardżuna zgodził się pracować wobec trzecich osób.

Stał przed nim blok marmuru, przesycony eterem nerwidialnym, to jest psychicznie spokrewniony z artystą. Ardżuna miał w ręku rodzaj dłuta i płomiennym okiem w milczeniu przyglądał się marmurowi, jakby go magnetyzował.

Potem w kilku miejscach kolejno z pewną siłą wyjątkową uderzył marmur i naraz jego odłamki zaczęły odrywać się od bloku i padały na ziemię.

I potem same już bez pomocy dłuta odcinały się, pozostawiając tylko to, co miało stanowić posąg.

Jakoż wnet ujrzałem trój-boskie oblicze istoty przedwiecznej, którą zamierzył rzeźbić artysta.

Raz jeszcze żałowałem, że ten styl indyjski, który tu leży odziedziczony we krwi snycerzy, nie jest stylem greckim. Gdyby tu można zaszcześcić grecki geniusz plastyczny!

O ile jednak kto przywyknie do tego typu bogów, jakich rzeźbi rasa indyjska, to może się nimi zachwycać. W każdym razie jest w nich olbrzymia suma metafizyki, zakutej w marmur.

Można powiedzieć, że tu posąg niejako rzeźbi sam siebie, artysta zaś tylko myśl mu podsuwa.

Posąg właściwie tkwi w tym bloku marmuru, a rzeźbiarz mu dopomaga jedynie do ujawnienia się w bycie.

Ardżuna przerwał robotę i więcej nie mógł, czy nie chciał, dziś pracować.

Było już zresztą blisko zmroku; purpurą z lekka poszarpana zachodnia strona nieba bladła powoli i ciemniała.

Gwiazdy już było widać na niebie, a z ogrodu płynął upajający zapach kwiatów zwrotnikowych.

Kokile, tittibhi i różne ptaki rozgłośnym śpiewem ożywiały ogród, po którym fruwały świetliki i inne samoświecące żuki. Od czasu do czasu ulatywał w powietrze złoty bażant albo lirogon.

Poszliśmy do ogrodu i siedliśmy na ławce. Damajanti wzięła lutnię i zaczęła śpiewać cudnym sopranem melodyjne pieśni, które mię przenikały do głębi.

Były to pieśni pełne tęsknoty, których muzyka i słowa rozrzewniły mnie ogromnie.

Czy Damajanti robiła to celowo? Ludzie tutejsi zbyt dobrze przenikają drugich, aby nie wiedziała, co się ze mną dzieje. Ale zapewne i Ardżuna mię przeniknął... W takim razie...

IX

Tej nocy spałem bardzo niespokojnie. Byłem zaś, jak pierwszej nocy mego pobytu w tym kraju, u Wasiszty. Było koło pierwszej nad ranem, gdy naraz mię obudził blask księżyca, który się zatrzymał tuż koło mojego okna. Przyznaję zresztą, że nie wiem istotnie, czym się obudził, czy śniłem; nie wiem, czy to było rojenie senne, czy zjawisko realne – dość, że porzuciłem swoją izbę i poszedłem do ogrodu koło naszego domu. Zapach kwiatów upajał mię, a srebrna poświata księżyca nadawała zarówno cieniom, jak jasnościom jakieś ostre, choć ciepłe zarysy. Błądziłem po alejach ogrodu, gdy naraz ujrzałem siedzącą na ławeczce osobę w białym ubraniu.

Ten biały kolor najbardziej mię zadziwił, a to z tego powodu, że w ogóle biały kolor jest tu usunięty z odzieży.

Ma to swoje powody głębiej sięgające: o ile medium trwa po seansie, jak to na przykład bywa w Europie i o ile w czasie transu ukazuje się przy nim widmo, to zwykle samo widmo jest białe i suknie są białe i wszystko, co z tym widmem się wiąże, jest białe.

Białość oznacza całkowite odbarwienie tej istoty, z której widmo pochodzi. Dlatego to w Suriawastu kolor biały jest nieużywany, gdyż nadawałby on pewną moc czynną zniklionemu ciału, które było kolebką naszych obywateli.

Aby tej mocy uniknąć i zapobiec możliwości zmartwychwstania ciała, nie noszą tu zupełnie białych sukien. Ze względu jednak na piękność białego koloru, uczeni tutejsi rozmyślają nad sposobem, który by go pozbawił owych cech

niebezpiecznych. Tymczasowo jednak widzimy taką różnorodność barw w odzieży Słońcogrodzianek.

Jeżeli więc zjawiała się osoba w sukni białej, było to oczywiście zdarzenie nadzwyczajne.

Kiedym się zbliżył do siedzącej na ławce kobiety (gdyż to była kobieta), ze zdziwieniem przekonałem się, że to Miranda.

Raczej zaś nie Miranda. To Lenora – tak jest – to widmo, które się wyłania z Mirandy i w jej obecności się materializuje.

– Lenoro! – rzekłem do niej – bądź pozdrowiona.

Spojrzała na mnie, jakby zdziwiona i uśmiechnęła się białymi ustami. Rzeczywiście zarówno jej twarz, jak ręce, jak i suknia były białe z odcieniem srebra księżycowego.

Było to raczej widmo seansowe, niż istota żywa.

– Pozwolisz mi tu usiąść? – zapytałem.

Kiwnęła głową.

– Czy mnie poznajesz?

– Poznaje.

– Widywaliście się dawniej.

– Tak, tak – widywaliśmy się. Przypominam.

– Co robi Miranda?

– Miranda? Cóż to jest Miranda?

– Miranda to jest osoba, która... z którą – nie wiedziałem, jak jej to wytłumaczyć. – Więc ty nie znasz Mirandy? Ketty Douglas?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Zdaje się, że ciało astralne nie wie nic o istnieniu ciała materialnego, w którym tkwi, podobnie zresztą, jak my po największej części nie wiemy nic o istocie metapsychicznej, która w nas przebywa. Lenora nie wiedziała nic o Mirandzie.

– Skąd przychodzisz tu, Lenoro!

– Z dalekich, dalekich stron!

- Z dalekich, dalekich stron – powtórzyłem jak echo.
- Z jakiejś dziwnej ciemnicy, do której zostałam strącona i czasami tylko, ach, na krótko mogę się wydobyć...
- Powiedziałaś raz: Jeszcze nie teraz!
- Jeszcze nie teraz... nie teraz... to będzie później.
- Co będzie później?
- To będzie jakby inne życie.
- Inne życie!
- Tak, życie lepsze.
- A ty nie żyjesz dobrze?
- Nie. Ale tu mi dobrze.

Rzecz godna uwagi, że ją nic nie zdziwił mój pobyt w tej miejscowości i zupełnie tej kwestii nie poruszała. Uważała to, widać, za sprawę zupełnie naturalną.

- Tu ci dobrze? – zapytałem. – Ty kochasz tych ludzi?
- Kocham.
- A gdybyś mnie kochała?

Spojrzała na mnie przeciągle i uśmiechała się tajemniczo. Osłupiałem z podziwu, gdyż był to uśmiech Damajanti. Nigdy nie była tak podobna do Damajanti, jak teraz. Zauważyłem w tej samej chwili, że dolna połowa jej osoby znikła zupełnie i że na ławce siedział sam kadłub. Oczy podniosła w górę i powiedziała mi:

- Patrz!

Rzuciłem wzrok do góry i w tej samej chwili Lenora rozwiała się i wsiąkła w niebyt, albo raczej, jak sądzę, połączyła się znowu z Mirandą, której siedziba jest mi nieznana. Pytanie moje zostało bez odpowiedzi.

Tymczasem z góry spływała jakaś postać w szatach barwy lila, które zlewały się z powietrzem tak, że chwilowo była niewidzialna. W minutę najwyżej po zniknięciu Lenory stanęła na jej miejscu postać nowa, która z obłoków spłynęła. Była to Damajanti.

Ukląkłem przed nią i zacząłem jej dłonie całować.

– O, jakież bóg cię natchnął, żeś się tu zjawiała. Dzięki ci, Damajanti! Bądź błogosławiona!

I znów obsypywałem jej ręce pocałunkami. Ona zaś raz jeszcze eterycznym pocałunkiem dotknęła – a właściwie nie dotknęła mego czoła, ale zatrzymała usta w odległości 0,1 milimetra koło niego.

Pomimo że był to pocałunek niedocałowany, jednakże tak niebiańską przepoił mnie rozkoszą, że czułem się prawie tak potężny, jak tutejsi mieszkańcy.

– Tęskniłem do ciebie, Damajanti, gdyż samo powietrze, którym oddychasz, już mi jest źródłem wzruszeń, rozkoszy i szczęścia.

– Powiem ci prawdę, wędrowniku. Od chwili, kiedy cię ujrzałam, coś mi się w sercu odmieniło. Rzadko się to zdarza u nas, aby rozwinęła się przyjaźń między naszym gatunkiem a istotą ludzką. A jednak tak się zdarzyło ze mną.

– A więc, czy mi wolno to zapytanie postawić, czy mnie kochasz!

– Rzadko u nas ludzie w tej sprawie, która jest sprawą najważniejszą ze wszystkich – rzadko u nas ludzie w tej sprawie kłamią. Rzadko nawet o tym mówią, bo u nas wszystko z góry się odgaduje i zanim powiedziałaś, już ta druga istota wszystko wie o tobie. Dlatego u nas ludzie chętnie milczą, bo milczenie to najmędrsza mowa.

– Zatem nie chcesz mi odpowiedzieć na moje pytanie? A więc ci powiem rzecz dziwną, do której nikomu jeszcze się nie przyznałem. Jestem wrogiem rzeczywistości i cokolwiek w niej widzę, chciałbym w innych, lepszych formach zobaczyć. Żyję poza rzeczywistością: żyję w złudzeniu, żyję w bajce. I choć wiele rzeczywistych kobiet uwielbiałem w życiu, choć niejednej przysięgałem miłość – jak to u nas jest w zwyczaju – to jednak nie mogę powiedzieć, że którąkolwiek

kochałem tak, jak kochać się powinno. Czy to była moja wina, czy wina tych kobiet ludzkich – nie wiem. Ale tak było, aż na koniec sam sobie stworzyłem bajkę o miłości. Stworzyłem sobie istotę nierealną, widmo mojej wyobraźni, kobietę nadziemską, której nadałem imię Sofonisbe. To była moja urojona rzeczywista kochanka. A potem zjawiała się w moim życiu pewna istota dziwna, imieniem Miranda. Było to medium, z którego wyłaniała się zjawa astralna Lenora! Ta Lenora była podobna do Sofonisbe, ale to jest fluid i eter, to psychoplazma, mniej realna, niż mój czysto mózgowy twór – moja Sofonisbe. Muszę ci powiedzieć, że ta Lenora tylko co tu była. Oderwawszy się od Mirandy, dopłynęła tutaj i na krótki moment się zmaterializowała. Ale rozpułyła się w nicłość prawie w tej samej chwili, kiedyś ty się pokazała. Lenora tak jest do ciebie podobna, że niemal zdaje się twoją siostrą i chwilami tak myślę, że Sofonisbe, Lenora i ty – to jedna osoba. Tylko ty jesteś najrzeczywistsza.

Gdybym podobne rzeczy mówił jakiejś damie warszawskiej – na pewno odesłałaby mnie do czubków. Ale tu na Wyspie Słonecznej mają inne poczucie rzeczywistości i inaczej rozumieją stosunek prawdy do złudzenia.

Damajanti mi opowiedziała:

– Rozumiem ciebie, ale ty mnie nie ze wszystkim zrozumiałaś! Wiem, jak wy, Anglicy, pojmujecie miłość. Są i u nas ludzie, którzy tęsknią za takimi rozkoszami, jakie są powszechne u Telurów i Kalibanów. Mówiłeś kiedyś, że my jesteśmy anioły. Na to ci rzekłam: może tak, a może nie. Bo nasze życie – to wieczna odpowiedzialność i zatraciliśmy swobodę błędzenia. Toteż powstała u nas opozycja; niejaki Czarwaka, człowiek zawzięty i energiczny, rzucił nowe hasło: ma to być rzekomo powrót do natury. Powiada on, że my prowadzimy życie widm i że trzeba żyć życiem ludzkim.

Uderza on w najśłabsze struny ducha: każdy z nas miewa chwilę tęsknoty za tym życiem pierwotnym.

– O, gdybyś chciała...

– Nie. Ty jeszcze tego nie rozumiesz...

Zamyśliła się. Po czym naraz rzekła:

– Czarwaka na jutro zwołał zebranie, na którym chce wyłożyć swe idee. Będzie zapewne spór, gdyż ma on dzielnych przeciwników. Ja sama postanowiłam wystąpić przeciw niemu. Będę na tym zebraniu – i jeżeli chcesz, pójdziemy razem.

– Bardzom ciekaw tego zebrania. Chętnie pójde, a zwłaszcza z tobą. Ale dlaczego chcesz wystąpić przeciw niemu!

– Tak potrzeba.

– Sofonisbe! Lenoro!

Naraz Damajanti się rozplakała. Błagałem ją, by się uspokoiła. Powiedziała mi wreszcie:

– Myślę czasami, że wszystkie istoty na świecie, widzialne i niewidzialne, tęsknią za czymś dalekim, tajemniczym i niepojętym i może się zdarzyć tak, że właśnie w dwojgu istotach zupełnie sobie obcych, jak my, znajdzie się zaspokojenie tej tęsknoty.

– A więc jednak masz dla mnie trochę przyjaźni, trochę sympatii – to mówiąc, wziąłem ją za obie ręce, a gdy siadła na ławce, objąłem ją w pól; przytuliła się do mnie i było mi z nią ciepło i dobrze.

– Wiele przyjaźni, wiele sympatii. Wstańmy.

Byłem jej posłuszny. Kazała mi trzymać obie swe ręce na krzyż i tak samo trzymała moje ręce – i ruszyła ze mną środkiem alejki ogrodowej, licząc: raz, dwa itd. do siedmiu. Tak, uczyniwszy wspólnie siedem kroków, zwyczajem indyjskim zawarliśmy związek przyjaźni.

– Posłuchaj mnie teraz. Jestem twoja. Pożegnałam Ardżunę. Ale, gdybyś był odcieleśniony, sprawa byłaby prosta. Bo choć to rzadko się zdarza, jednak u nas czasami ludzie się rozchodzą. Ministerium Miłości nie jest nieomyślne. Między mną a Ardżuną nie było tej harmonii, jaka jest konieczną do szczęścia na ziemi. Już od dawna zachodziły między nami starcia, które oziębły nasze stosunki.

– Gdzież się podziejiesz w takim razie! – zapytałem. – Bo przecież ja tu jestem obcy; nie mam ani domu, ani pola, ani nic. Nie wiem, czy byłbym tu na co przydatny.

– Nie lękaj się o mnie. Ja mam pewną swoją myśl, która mnie od dawna podtrzymuje, a której nikt nie zna.

– A mnie jej nie powiesz?

– Powiem, kiedy przyjdzie czas odpowiedni.

Była to widać jakaś myśl podniosła, gdyż tak rozświetliła oblicze Damajanti, że ta wyglądała jak święta. O ile to człowiekowi może być dostępne, zdawało mi się, że jestem gdzieś na granicy ziemi i nieba i takiego doznałem wrażenia, jakiego doznać musiał Dante, kiedy stanął u wrót Raju i po raz pierwszy ujrzał tam Beatrycze.

A chociaż w nas, słabych synach cielesności, zawsze się mieszają *sacra profanis*, to jednak Damajanti tak mnie prześwieciła swoją osobą, że wszelkie *profanum* znikło – i byłem jak rozmodlony wobec jej niewiadomego, ale bez wątpienia podniosłego, marzenia.

Niestety, dowiedziałem się później, co to było! Była to rzecz tak przerażająca (w naszym europejskim pojęciu), że dotychczas nie mogę o tym wspomnieć bez dreszczu trwogi.

Tymczasowo zastanawiałem się nad tym dziwnym stosunkiem, jaki się zawiązał między mną a tą istotą astralną i nadludzką. Przypominały mi się historie o rusałkach i świteziankach, ale to było zupełnie co innego. Tamto były elementale nieświadome, niższe od człowieka, anima

panteistyczna, do cna w żywiołach ziemskich pogrążona. Tu stałem wobec istoty wyższej od siebie, w której był nadmiar duchowości, gdy ja byłem żywiołem i lękałem się, że każdym ruchem mógłbym jej niepokalaną czystość splamić.

Milczeliśmy oboje dłuższy czas. Na koniec jej powiedziałem tylko te słowa:

– Kocham ciebie!

I nagle Damajanti dziwnie się zmieniła: zdawało mi się, że jakąś bachantkę mam przed sobą, tak błyszczały jej oczy i tak bezczelnie uśmiechały się jej usta.

Potem, nie wiadomo jak, znalazłem się w swoim pokoju – i ona była u mnie.

Upadłem przed nią na kolana i całowałem jej nogi. Podniosła mnie i namiętnie pocałowała w usta. Po czym wyjęła ze swego woreczka wino i naląła kieliszek miary naparstka. Piliśmy na przemiany po parę kropel – i raz jeszcze powtórzyliśmy to samo. Ogień niepojęty rozpalił moją krew, czułem się niby sam bóg Kriszna w Rasawanie. Porwałem Damajanti w objęcia i zacząłem ją całować, całować bez pamięci. Zapach cudnych kwiatów rozpląnął się po powietrzu; był to zapach Damajanti, zapach jej miłości...

Naraz promienie słońca, poprzez zieleń drzew ogrodu, wcisnęły się do mego pokoju. Obudziłem się jakby ze snu. Nie było przy mnie nikogo, ale zapach cudowny, ten sam zapach, który oczarował mię we śnie, zapełniał moją izbę.

X

Rankiem zjawiała się u nas Damajanti. Sam nie wiedziałem, czy mam na nią patrzeć jak zwycięzca-kochanek, czy też jak winowajca, który miał sny bezbożne i sprofanował swe bóstwo. Nie wiedziałem, czy to był sen czy jawa, bo zwłaszcza tu, w tym kraju, straciłem miarę granicy między urojeniem a rzeczywistością.

Zauważyłem, że w ciągu dnia żona Wasiszty długie rozmowy prowadziła z Damajanti i chodziła z nią do świątyni Miłości. Co tam robiły – nie wiem, ale spostrzegłem, że Damajanti mię unika. Zbliżyłem się jednak do niej i zapytałem, co to znaczy. Spojrzała na mnie zimno i surowo, jakby była na mnie obrażona:

– Rozchodzę się z moim mężem Ardżuną. Będę mieszkała u pani Gandhari. Tam możesz przyjść i zobaczyć się ze mną. Bądź na zebraniu Czarwaki, odbywa się ono w jednej sali w okolicy świątyni Mądrości.

Po co Damajanti powtarzała mi wiadomość o swym rozwodzie, nie rozumiem. Mimo to zacząłem teraz snuć Bóg wie jakie marzenia. I swoją drogą nie wiem, dlaczego mnie ta kobieta unika.

Nie mogłem też nie uwzględnić, że realnie czy marzeniowo dała mi ona parę godzin takiego szczęścia i takiej rozkoszy, jakiej nikt i nigdy dać mi nie byłby w stanie. Ściśle biorąc, mógłbym już umrzeć, jako ten, co kielich życia wypił do dna.

A jednak dzisiaj rano marzyłem, że te czarowne aromatyczne noce powtarzać się będą jeszcze i jeszcze... Tymczasem była to jedna jedyna noc cudu – i miała się już nigdy nie powtórzyć. Damajanti żywiła jakąś myśl tajemniczą, a tajemnica ta była dla mnie nieprzeniknioną i niedostępną.

Czy ją żona Wasiszty знаła – nie wiem. Jakem się później przekonał, istotnie o tym nie wiedziała. Damajanti już dawno złożyła przysięgę tajemną w świątyni Słońca, a tutaj, kto przysięgę złożył, tego żadna siła od jej spełnienia wyzwolić nie może.

W czasie obiadu rozmawiałem z Wasiszcią o zebraniu, które zwołał Czarwaka. Wasiszta był jego przeciwnikiem: uważał jego działalność za szkodliwą, ale przyznawał mu wysoką inteligencję i uczciwość nieposzlakowaną.

– A jakże on traktuje swoich przeciwników!
– Również – z najwyższą kurtuazją.
– Czy go nie przekupiły czasem Telury albo Anglicy?
– Co za pomysł! Ma on swoje zasady, do których zapewne doszedł pracą duchową, a że się z nami nie zgadza, to cóż tu mają do roboty Anglicy?

– U nas by go na pewno oskarżono o to, że się zaprzedał jakiejś obcej potencji i tysiąc pięćset innych plotek puszczone by na niego.

– Wyznaję, że nie bardzo to rozumiem, bo to przecież nic a nic nie wyjaśnia prawdy. Trzeba tylko dokładnie poznać jego doktrynę, a wtedy można z nią walczyć i nawet ją obalić.

– Ach, więc wy, chcąc zwalczyć Czarwakę, przede wszystkim dokładnie zapoznajecie się z jego nauką?

– A, jakże można by inaczej?

– To dla mnie nowość prawdziwa! U nas zwykle nawet zwolennicy jakiejś doktryny czy stronnictwa nie znają dokładnie swego dekalogu, a cóż dopiero, żeby znać i uwzględnić zasady przeciwnika!

– No, więc jakże z nimi walczą?

– Bardzo prosto. Stronnictwo A układa sobie jakieś fantastycznie frazesy o stronnictwie B i zwalcza te fantastyczne, oczywiście bardzo głupie i łatwe do obalenia, frazesy. I podobnie stronnictwo B walczy ze stronnictwem A.

– No, ale przecież jakąś dyskusję prowadzą.

– Niech Bóg broni! Jeżeli na przykład grupa A urządza wiec, to na pewno członkowie grupy B na ten wiec nie przyjdą, a jeżeli przyjdą, to po to, żeby hałasować, gwizdać, przeszkadzać. Panowie A wcale nie chcą dowiedzieć się, co myśli grupa B i na odwrót. Oni z góry mają siebie nawzajem za ojcobójców, trucicieli, zdrajców ojczyzny, bandytów, złodziei itd.

– To dziwne! Więc w takim razie nigdy się prawdy nie dowiedzą!

– Ale im wcale o prawdę nie chodzi. Każdy ma swoją bardzo mętnie znaną sobie półprawdę, która jest półfałszem – i broni tego tumanu.

– To jest rzecz niezrozumiała dla mnie, ale i to możliwe. Było i u nas coś podobnego. Stary Wiśwamitra mi opowiadał, że po wygnaniu naszych ciemieżców, kiedy Suriawastu na nowo zdobyła niepodległość, takie same walki były i u nas.

Chociaż Wasiszta wiedział o moich uczuciach dla Damajanti – a lękam się nawet, że zarówno on, jak i sama Damajanti znała mój sen – to jednak nie miał wcale o nią obawy i spokojnie mówił ze mną o rzeczach postronnych. Tylko żona Wasiszty była w trwodze, że Damajanti, połączywszy się z człowiekiem śmiertelnym, mogłaby spaść do stanu Upiornicy.

Był to bowiem straszny grzech – grzech, podobny do grzechu Adamowego; wygnanie z raj. Nie jest wykluczone, że nasi pierwsi rodzice byli to ludzie astralni i że ich wygnanie

z Edenu – to po prostu materializacja ich ciał astralnych w grubą powłokę ciała ziemskiego.

A jednak Damajanti nie upadła w ten sposób; nie została wygnana z Edenu, nie przybrała swojej fluidycznej tkanki w ciało materialne.

Stało się to dzięki tej myśli tajemnej, którą Damajanti ślubowała i która była dla niej ochroną od zguby.

Po obiedzie odwiedziłem panią Gandhari, gdzie widziałem Damajanti. Ucałowaliśmy się raz jeszcze pocałunkiem braterskim i, choć mi było na duszy tęskno i żalobnie, nie śmiałem już jej narzucać swoich uczuć ani wyznań, gdyż widziałem, że jest przejęta swoją myślą tajemną, zapewne całkowicie z innego świata.

Mieliśmy iść razem na zebranie, zwołane przez Czarwakę. Zapowiedział też mowę Tankara oraz Ratandzali – dwóch jego przeciwników – i, jak to mię w ostatniej chwili pouczono, zamierzała również przemawiać Damajanti.

Niewielkie miałem pojęcie o ideach Czarwaki, ale wobec tego, że bardzo szanowni ludzie występowali przeciwko niemu, byłem niespokojny, że Damajanti, choć obiecywała z nim walczyć, może się skompromitować. Zapytałem więc ją, czy ma gotowy plan przemówienia.

Wyjaśniła mi rzecz w ten sposób, że pewne strony poglądów Czarwaki rozumie i wybacza, ale gdyby jego zasady zwyciężyły, to byłby upadek Republiki Słonecznej. Rzecz zupełnie naturalna, że w sercach ludzkich budzi się nostalgia za stanem pierwotnym; że bywają tęsknoty za jakąś rozkoszą, właśnie temu stanowi pierwotnemu dostępną, ale że to nie może być rzecz decydująca; że walka z tą pokusą, owszem, może Słońcogrodzian podnieść na wyższy stopień rozwoju duchowego.

Poszliśmy razem do sali zebrań. Przyłączył się do nas Wasiszta oraz kilka innych osób. Wiśwamitra przybył

również. Sala w pobliżu ministerium Mądrości była dość obszerna i przepełniona publicznością. Było już pod wieczór i zarówno ulice, jak i sala były oświetlone.

Nie pamiętam, czym wam wspominał o tutejszym oświetleniu. Jest ono również w związku z centralną maszyną maszyn, która stosownie do potrzeby przerabia wszelkie siły jedne na drugie – elektryczność na światło itd. Na ulicach, na gościńcach znajdują się tu słupy, dość wysokie, zakończone kulą przezroczystą; zarówno słupy, jak kule, są z tej samej materii rogowatej, z której tu się wyrabia cegły, wozy itd. Owóż kula taka w miarę zapadania zmroku automatycznie stopniowo rozświetla się sama; w miarę świtania – sama stopniowo gaśnie. Żadnej mechaniki do tego celu nie potrzeba, gdyż z maszyny centralnej płynie energia, która sięga najbliższej lampy; ta działa na następną i tak dalej – w całym kraju.

W mieszkaniach prywatnych są również lampki mniejszych rozmiarów, które dają jasność równą sile światła słonecznego. Można powiedzieć, że jest tu wieczny dzień. O ile chcesz mieć ciemność, zamykasz prąd, ku czemu istnieje odpowiedni klucz, i światło gaśnie.

Taka świetlna kula wisiała na suficie sali zebrania, na które weszliśmy.

Wkrótce zadzwoniono i wystąpił Czarwaka, przez pewną grupę obecnych powitany hucznym oklaskiem.

Czarwaka jest doskonałym mówcą, pełnym ironii i ognia. Często wywołuje śmiech wśród słuchaczy, czasami wielki entuzjazm. Jest to mężczyzna lat koło czterdziestu, o czarnych włosach i czarnym płomienistym oku. Głos ma mocny i melodyjny, wymowę płynną.

Nie mogę tu powtarzać jego długiej mowy i tylko w streszczeniu ją podam. Główny zarzut, jaki Czarwaka stawia organizacji słońcogrodzkiej, polega na tym, że jest ona

niezgodna z naturą. Świat opiera się na ewolucji przyrodzonej i człowiek materialny, taki na przykład jak Telury lub Kalibany, z biegiem czasu podniesie się na wyższy stopień rozwoju i sam z siebie wyłoni swego astrala, jest bowiem rzeczą prawdopodobną, że świat materialny prędzej czy później przewycięży sam siebie; wyzwoli się z materii i zmieni się w świat astralny. Ale musi to być wywołane samoistnym działaniem planety, fal kosmicznych, psychoplazmy idącej z nieskończoności, rozwoju kultury wewnętrznej człowieka itd., nie może zaś być owocem woli ludzkiej i sztucznych wynalazków. Słońcogrodzianie zadają gwałt naturze: póki jeszcze człowiek jest człowiekiem, wydobywają z niego widmo, nadając mu byt realny, natomiast w nicą obracając jego ciało. Ciało to staje się widmem szczególnym, gdyż ono nie znika, ale gdzieś krąży w przestrzeni tak, że pewnego dnia, zazwyczaj w chwili śmierci, ukazuje się w całej pełni na nowo. Zdematerializowane ciało przestaje być czynnikiem ważkim naszego życia; zmaterializowany astral staje się wszystkim. Powiedzą mi, że ten astral jest istotą wyższą od człowieka, że ma daleko doskonalsze zmysły, że umie latać po powietrzu, że stanął ponad prawami natury, że opanował konieczność i usunął z życia przypadek, że uzyskał potęgę a pozbawił ją przemocy i tak dalej. Wszystko to prawda, ale utraciliśmy nader cenne rzeczy, mianowicie natężenie ducha, wysiłek, nieustające poczucie ryzyka i walki o byt, to jest to wszystko, w czym się rozwija rzeczywista wolność ludzkiej woli. Trudność, niebezpieczeństwo, przeszkody, nagromadzenie przeciwieństw – wszystko to usunięto nam sprzed oczu. Mamy nadmiar pewności, nadmiar ułatwień, jesteśmy ciągle pod nazbyt czujną opieką Metafizyki i triumwiratu jego ministrów. Powiadają, że my jesteśmy najbardziej wolni ludzie na świecie: ja zaś twierdzę, że jesteśmy w zupełnej

niewoli, gdyż spadliśmy do stanu dzieci, nad którymi nieustannie czuwa niańka. Weźmy na przykład sprawę zawierania związków miłosnych. Anglicy mają tu wielki wysiłek: robią poszukiwania, próby, łączą się, myślą nieraz, rozchodzą, znajdują piękniejsze oczy, niż te, w które dotychczas spoglądali; słowem poznają szczęście i nieszczęście. U nas wszystkie te przedwstępne działania znikają: u nas ministerium samo ci wynajduje drugą osobę zgodnie z barwą twojej duszy – i całe szczęście, że psychometria czasami się myli i z tego wynika pewne urozmaicenie naszego życia. Oto jest mój wniosek, który chcę przedstawić narodowi pod rozwagę: aby na jedno pokolenie przerwać magnetyzowanie młodzieży i pozwolić wszystkim trwać dopóty w ciele materialnym, dopóki tego zapragną; aby tym jednostkom nieastralnym pozwolone było mieszkać do woli, gdzie zechcą, nie zaś gromadzić ich w jednej okolicy; aby przeprowadzić rewizję naszej konstytucji i stosownie do nowych potrzeb ją zreformować.

Huczny brawem została przyjęta mowa Czarwaki, którego idee widocznie były dość powszechne w tej społeczności, nadmiernie uduchowionej. To zdaje się znaczyły słowa Damajanti: Może tak, a może nie!

Teraz przemówił Tamkara.

Uważa on za rzecz naturalną, że człowiek tęskni za swoją przeszłością nie tylko ludzką, ale nawet roślinną czy kamienną. Czy człowiek zwykły wobec zwierzęcia nie jest istotą niższą? Czy nie jest rzeczą korzystną mieć cztery nogi zamiast dwóch, posiadać ogon, ciało mieć pokryte sierścią? Czy nie jest rzeczą dobrą tkwić korzeniami w ziemi spokojnie i nieruchomo, a pewnie i trwale, jak to jest naturą drzew i roślin! A jednak nikt nie pragnie biegać na czterech nogach, ani wrosnąć w ziemię. Każdy bowiem łatwo zrozumie, że to byłoby cofnięciem się w daleką przeszłość. Ale i człowiek

śmiertelny jest istotą nieostateczną na tym świecie: on jest tylko stopniem do rozwoju istoty wyższej, która ma się z niego wyłonić. Może ta istota wyłoni się drogą powolnej wielowiecznej ewolucji, ale jeżeli znaleźliśmy sposób przyspieszenia tego procesu – tośmy uczynili to, co do nas należy. Nie sędę bynajmniej, aby stan, w którym Suriawastu obecnie się znajduje, był stanem najwyższym, do jakiego dojść może ludzkość. Przeciwnie, my jesteśmy dopiero u początku jakiejś nowej ery – i stanowimy zapowiedź nowego człowieka, którego natury ani istoty bynajmniej się nie domyślamy. Śmiało jednak możemy powiedzieć o sobie, że jesteśmy wyżsi od człowieka pospolitego, zwanego *homo sapiens*. Na dwóch rzeczach opiera się naszą wyższość: na rozwoju splotu słonecznego do wyżyn świadomości i na znajomości Nirwidium. Przeniknęliśmy do istoty organizmu ludzkiego i do istoty budowy materii. Rozwijamy w każdej jednostce siłę mediumiczną, którą zaniedbali inni mieszkańcy planety – i na tej podstawie utrwalamy astral. Uzyskaliśmy tą drogą zalety tak cenne, że ich wartość znacznie przewyższa straty poniesione. Czemuż mamy się wyzbywać tej wyższości? Czarwaka żali się głównie na to, że z życia naszego zginęła przypadkowość. Ale im istota jest doskonalsza, tym mniej ulega przypadkowości; tym większa jest matematyczność jego żywota. Zapewne żaden gracz nie przystąpiłby do gry, gdyby bezwzględnie był pewny wygranej: ale czy gra jest konieczna? A jeżeliś wygrał główny los i jeżeli rozbiłeś bank, czy jeszcze będzie cię nęciła gra? My jesteśmy jako ci, co wygrali główny los. Zwalczyliśmy walkę o byt, rozwiązaaliśmy sprawę socjalną, usunęliśmy z życia wyzysk i pieniądz, podnieśliśmy godność człowieka, stworzyliśmy powszechne braterstwo. Wszystko to jest niemożliwe, o ile natura ludzka pozostaje niezmienną; aby stworzyć Republikę Słoneczną, trzeba było przedtem wywołać

do bytu nowego człowieka. Przeciwny jestem wnioskowi, postawionemu przez Czarwakę. Nie należy wygłaszać takiego prawa, które by pozwalało każdemu dozwoli zostać w ludzkiej skórze. I bez tego dorocznie wielka jest liczba takich, którzy od świętej ceremonii uciekają. Inni za wpływem grzechu, występku, choroby, spadają do stanu upiorów. I nie należy im dawać bezwzględnej aprobaty co do wyboru miejsca zamieszkania. Natomiast chcę podać projekt, aby rozróżnić oba typy opornych i aby tę młodzież, która uchodzi od dematerializacji, trzymać w jednej miejscowości; tych zaś, którzy spadli do stanu cielesnego z winy własnej – w innej. Młodzież ta nie jest występna, lecz chwilowo znajduje się na błędnej drodze; toż niejeden do nas sam powraca. Co innego ci, którzy skutkiem grzechu upadli: to zaraza, której nic już nie pomoże. Uważajcie, że u nas krowy, owce, psy i inne zwierzęta, żyjąc w atmosferze, przesyconej astralem, ulegają też uduchowieniu wyższemu, niż to się zdarza gdzie indziej: ale ci są oporni na wszystkie wpływy. Należy więc oddzielić jednych od drugich.

Na tym skończył Tankara, i na katedrę wszedł Ratandzali.

Nie zgadzał się zupełnie na tezę Czarwaki.

Człowiek nie tylko ma prawo, ale i obowiązek przyśpieszać dzieło ewolucji. Nie ma innego znaczenia cała technika Anglików. Służy ona w tym celu, aby ujarzmić siły natury i oddać je w służbę człowieka. Ale Anglicy znają tylko zewnętrzną stronę sił natury – i dla ich opanowania zmuszeni są budować maszyny o konstrukcji bardzo zawikłanej i niebezpieczne dla życia ludzkiego. Jednak wszystkie te siły znajdują się w człowieku i należy je wyzwolić z organizmu ludzkiego. Takim wyzwoleniem jest wywołanie astrala; zwulkanizowana istota widmowa człowieka zawiera w sobie wszystkie te maszyny, które Anglicy robią w celach

poszczególnych i w różnym gatunku. Anglicy przy tym nie znają Nirwidium, to jest nie znają istoty materii i energii: krążą tylko na zewnątrz tej tajemnicy. Gdyby tę rzecz poznali, zastosowali by ją na pewno u siebie. Tu chcę poruszyć kwestię, którą już od czasu do czasu poruszano. Dlaczego Słońcogrodzianie tak zazdrośnie ukrywają swoje tajemnice i nie chcą ich udzielić innym narodom? Uważają oni, że wszystko, co dotychczas w tym kierunku uczyniono, jest próbą i że nie wolno im jeszcze swoich prawd rozszerzać po świecie. Zdaje mi się jednak, że były już czas wyjść z tego zamknięcia; przede wszystkim należałoby drogą podboju czy jakkolwiek inną opanować całą wyspę i naszą organizację jej narzucić. U nas jest niechęć przeciw ludziom, mającym odmienną barwę skóry i odmienny zapach. Jest to jednak tylko rzecz zewnętrzna. Miałem okazję magnetyzować niejednego Telura i niejednego Kalibana. Tak samo jak my posiadają oni siły mediumiczne, a zjawy astralne, jakie się w ich obecności wyłaniają, są również białe, jak nasze zjawy. O ile by je później utrwalić ogniem i kąpielą, nie różniłyby się niczym od nas. Istnieje u nas niechęć do podbojów, ale trzeba będzie tę niechęć przezwyciężyć, gdyż nie tylko naszą wyspę, ale całą ziemię musimy opanować. O ile bowiem można tę rzecz sformułować, cała ewolucja świata idzie w tym kierunku, aby glob materialny zmienić na glob astralny. Bo jak każda osoba ludzka, tak cała planeta posiada swego astrala – i na tym polega stopniowe uduchowanie bytu na świecie. Materia po to istnieje, aby stać się duchem. I nie tylko ziemia, ale być może inne planety ulec muszą przemianie, jaką myśmy tu rozpoczęli na Taprobanie. Nie dostaną się tam ludzie ani balonem, ani aeroplanem, ale my moglibyśmy się tam dostać, choć nie jest wykluczone, że już i tam są duchy, co znają nasze tajemnice. Uważajcie, że my, wprowadzając nasze astrale w stosunki ludzkie, podnosimy, co prawda, te stosunki

na wyższą płaszczyznę, ale narzucamy swoim widmom interesa, uczucia, namiętności i pragnienia ludzkie. Są to ludzie, zapewne doskonalsi, ale zawsze jeszcze ludzie. Rzeczą przyszłości, rzeczą wyższego uduchowania będzie zastralizować i zeteryzować wszystko: całą naturę, a z nią i społeczeństwo, podnieść na wyższy stopień ewolucji. A zatem, wbrew Czarwace, nie tylko nie żądam ograniczenia naszego systemu w naszym kraju, ale przeciwnie, żądam jego rozszerzenia naprzód na całą wyspę, a dalej na całą planetę.

Czarwaka jeszcze odpowiadał obu mówcom i ci znów mu replikowali, ale nic już nowego w ich słowach nie słyszałem. Od czasu do czasu to jeden, to drugi dostawał oklaski, ale w każdym razie nie wymyślali sobie od złodziei, bandytów i tym podobnych, ani też nie bili się po twarzach, ani nie wyrywali sobie czupryn. Publiczność nie gwizdała, nie krzyczała, nie wyła; owszem, w skupieniu słuchano każdego z mówców po kolei.

Ostatnia mówiła Damajanti. Jej postać szlachetna i piękna narzuciła słuchaczom oczekiwanie milczące i pełne ciekawości. Wszystkie oczy były w nią wpatrzone.

– Chcę tu mówić przeciw zasadom Czarwaki. Zapewne, jak w każdym twierdzeniu, są i w jego słowach ziarna prawdy. Ale na czym polega ta prawda? Człowiek jest istotą słabą i łatwo ulega obłędowi i pokusom, lecz ani te pokusy, ani te obłędy nie są rzeczą istotną; są to przypadkowe nawroty ku zmarłej przeszłości. Czarwaka chce właśnie tym obłędowi nadać stanowisko kierownicze. Ale jeżeli te pożądaniami z niższego okresu bytu jeszcze się czasami u nas odzywają, to znaczy tylko, że reforma, którą zaprowadzili u nas nasi ojcowie, jest jeszcze niezbyt ugruntowana w naszych duszach i musimy ją wzmocnić. Taki ferment, jaki tu wywołać pragnie Czarwaka, powtarza się u nas od czasu do czasu, co jedno pokolenie, mniej więcej trzykrotnie w ciągu stulecia, to jest co

trzydzieści trzy lata i cztery miesiące. Dlatego to ojcowie nasi postanowili, aby trzykrotnie w ciągu stulecia jeden człowiek dobrowolną ofiarą życia ostatniego odkupił grzechy i błędy swego pokolenia. Zazwyczaj sam naczelnik Słońce składa siebie na ofiarę, ale jeżeli się zjawi kto, co gotów sam zamiast niego zginąć na stosie – Słońce nie może mu przeszkodzić, nie może jego ślubom zadać kłamu i musi przystać na tę zamianę. Jutro właśnie jest dzień ofiary. Widziałam naczelnika i przedstawiłam mu swoją niezłomną wolę, że ja, Damajanti, dawno już ślub uczyniłam i przysięgłam zamiast niego ofiarować się bogom! A niech moja ofiara nie będzie bezpłodna!

– Cześć Damajanti, cześć! – wołała cała sala, ja zaś aż skamieniałam z podziwu i przestachu.

Istotnie, Campanella mówi, że od czasu do czasu Słońcogrodzianie składają bogom ofiarę, jednakże nie biorą w tym celu zwierząt, gdyż byłaby to ofiara niedobrowolna. Esencją zaś ofiary jest wolność: kandydat sam się przedstawia; najczęściej czyni to sam Metafizyka. Nie przypuszczałem, aby ten obyczaj się zachował. A jednak dla tradycji czy dla jakiej mistyki obyczaj trwa – i oto Damajanti, opętana jakąś myślą natrętną, zapragnęła tego uroczystego samobójstwa.

XI

Bylem prawie jak obłąkany. Co robić, aby tę kobietę powstrzymać od szaleństwa? Odprowadziłem ją do domu Wiśwamitry, zresztą z całym tłumem publiczności, która była wysoce przejęta postanowieniem Damajanti – i żywe okrzyki na jej cześć wygłaszała. Damajanti im podziękowała i prosiła, aby w spokoju się rozeszli.

Natychmiast jej posłuchano. Znaleźliśmy się sami, bliscy, Wiśwamitra z żoną, Wasiszta z żoną oraz ja i Damajanti. Zasedliśmy w ogrodzie i rozważaliśmy postanowienie tej kobiety.

Nikt zresztą nie był tym tak poruszony jak ja. I Wiśwamitra, i Wasiszta bardzo spokojnie, a nawet z pewnym lichym entuzjazmem, traktowali zamierzoną ofiarę. Trzeba zaznaczyć, że obecny naczelnik państwa Narajana był bardzo kochany i uchodził za jakąś wyższą istotę: on to miał rzeczywiście zamiar ułożyć ze siebie ofiarę Bogu, ale błaganie i wola Damajanti i jej jakaś opętańcza a niepokonana żądza samopoświęcenia były tak potężnym czynnikiem, że Narajana musiał jej ustąpić.

Czyżby mnie ustąpiła? Ani mowy o tym.

– Posłuchaj, Damajanti – mówiłem błagalnie. – Rozkaż, a natychmiast poddam się obrzędowi dematerializacji. Będę twym niewolnikiem, tylko nie odchodź z tego świata. Zostań tu na ziemi.

– Widzę, że słabą jest twoja wiara w nieśmiertelność ducha. Mylisz się; gdybyś się odcieleśnił i stał się jako jeden z

nas, to byś mnie lepiej rozumiał i nie odwodziłbyś od przysięgi, którą uczyniłam. Wiedziałbyś, że będę żyć dalej, choć może na innej płaszczyźnie i że prędzej czy później zobaczymy się ze sobą. Traktujesz te rzeczy jak człowiek. Patrz, jak spokojni są ci wszyscy, którzy są tu ze mną.

– Nie rozumiem istotnie, jakie znaczenie może mieć dla tej sprawy nieokreślonej ofiara twego młodego życia. Rozumiem, jeżeli ktoś umiera dla ukochanych, dla ojczyzny, dla jakiejś sprawy, o którą toczy się walka; jeżeli kto ginie za wydziedziczonych, uciśnionych, wyklętych... Ale za co ty giniesz?

– Nie ginę. Nie umieram. Żyć będę, ofiarę składam, aby dać świadectwo prawdzie, nie żadnej poszczególnej, nie żadnej określonej, ale samej istocie rzeczy, jej nirwidialnej esencji. Ty może tego nie rozumiesz, bo wy zatraciliście poczucie ofiary dla celów nadrzeczowych i pozaświatowych – chciała pewnie rzecz: transcendentalnych. Nie było sposobu, musiałem zrezygnować.

Smutny poszedłem do domu. Jeżeli ona zginie, cóż ja tu miałbym do roboty? Jak najprędzej chciałem uciec z tej wyspy. Nie wiedziałem, czy jutro iść na to straszne widowisko, czy raczej oczy zamknąć, aby go nie oglądać. Ale właśnie Wasiszta moje myśli przeniknął i rzecze mi:

– Damajanti cię prosi, abyś koniecznie był jutro na uroczystości. Naprzód będziemy w świątyni Słońca, a stamtąd wielką procesją udamy się na Pole Marsowe, gdzie Damajanti wstąpi na stos.

Jak przez mgłę przypomina mi się to wszystko. Gdyż byłem półnieprzytomny i wtedy, kiedym szedł do świątyni, i wtedy, kiedym stał na polu ofiary! Wczesnym rankiem udaliśmy się na Forum miejskie, gdzie centralny punkt zajmowała świątynia Słońca. Ze wszech stron gromadzili się ludzie, starsi i młodszy, mężczyźni i kobiety. Przed świątynią na

niewielkim placu stał Ardżuna i kilku jego pomocników, i ostatnim dotknięciem gładzili posąg, którego pierwsze chwile narodzin widziałem w pracowni. Teraz ustawiano go przed świątynią; była to doskonała rzeźba w stylu indyjskim, wyobrażająca Jedność boską w jej trzech atrybutach głównych, które tu kierowały troistą falą życia. Wobec sprawy Damajanti sprawa nowego pomnika minęła bez wrażenia.

Ardżuna bardzo życzliwie powitał Damajanti, która go pocałowała w czoło i serdecznie rękę mu uścisnęła; było to uroczyste pożegnanie dawnej kochanki, która odchodzi w wieczność.

Weszliśmy do świątyni, do głównej hali, gdzie w wielkim ołtarzu stał posąg Słońca. Był to, szczęśliwym trafem, posąg roboty greckiej, wspaniały Helios-Apollon, który szczególną drogą dostał się do Suriawastu i był bardzo starożytny, gdyż pochodził z czasów, gdy Seleukidzi panowali nad częścią Indii północnych. Król Demetrios miał na dworze swoim rzeźbiarzy Greków, którzy dla niego robili posągi bogów helleńskich, a dla Czandragupty posągi Buddy. Owóż jeden z tych posągów greckich poprzez Czandraguptę (u Greków zwanego Sandrakottos) dostał się na dwór jednego z dawnych królów Taprobany i przetrwał liczne stulecia aż po dzień dzisiejszy; mimo tylu wieków był nieskalanie biały i promieniał jak dzień. Stał też w świątyni Słońca – jako wcielenie po pierwsze światła w świecie materialnym (czyli słońca) i światła w świecie duchowym (czyli metafizyki).

Na jednej ze ścian bocznych widziałem trzy wielkie plansze, na których wymalowane były dwa koła, jedno niebieskie, drugie czerwone, w różnym układzie. Na pierwszym rysunku koło czerwone i koło niebieskie, mając centra ma jednej linii, były wyosobnione i tylko w jednym punkcie się stykały. Na drugim koło czerwone i niebieskie były ze sobą połączone w jedność, a kolory były tak

kunsztownie ułożone, że jeżeliś spoglądał z jednego punktu, koło wydawało się wyłącznie niebieskie, z drugiego wyłącznie czerwone. Na trzecim rysunku koła zachodziły na siebie, ale częściowo były samoistne: obwód czerwonego koła przechodził przez centrum niebieskiego, obwód koła niebieskiego przechodził przez centrum czerwonego.

Gdym pytał Wiśwamitrę, co znaczą te symbole, odpowiedział mi, że są to trzy główne i zasadnicze systematy filozoficzne. Pierwszy uważa, że myśl i byt, duch i materia, Bóg i świat – stanowią dwie potęgi odrębne, w jednym tylko stykające się punkcie; drugi – że one są bezwzględną tożsamością; trzeci – że są częściowo tożsamością, częściowo zaś fenomenem odrębnym.

Wiele jeszcze było w tej świątyni tablic tego rodzaju, ale tak mnie przejmowała troska o Damajanti, tak serce moje było przepełnione cierpieniem, że nie mogłem na to wszystko zwracać uwagi. Nic mnie nie obchodziła wspaniałość kolumn wewnątrz świątyni ani barwne ornamenta na ścianach, ani liczne posągi, mające wyobrażać już to planety, już zodiak, już to różne postacie widzialnego słońca; w jedno się tylko patrzyłem – w Damajanti. Ona stała już przy posągu Heliosa, a koło niej ukazał się wspaniały starzec w stroju czarno-złotym; długa biała broda spływała mu na piersi, w rękę zaś miał rodzaj laski czy też buławy. Zabrzmiała muzyka uroczysta, a przez okno spływało światło słoneczne, załamując się w rozmaite barwy poprzez szyby kolorowe. Kiedy muzyka ucichła, Narajana przemówił:

– Ażeby zmniejszyć sumę cierpienia na Ziemi, zmartwychwstała Rzeczpospolita Słoneczna. Nie mówię, aby cierpienie unicestwić, gdyż cierpienie jest to droga, co prowadzi człowieka ku wyższości, ale człowiek na ziemi cierpi zbyt wiele. Nadmiar cierpień jednakże ma główne źródło w ludzkim egoizmie. Trzeba więc zwalczyć egoizm,

aby tylko te cierpienia pozostały, które są ponad i poza egoizmem. Ojcowie nasi, twórcy tej Republiki Słonecznej, wielkim wysiłkiem woli magnetycznej i myśli analitycznej, stworzyli wyższy rodzaj człowieka, wyzwolonego z cielesności i egoizmu, ale jeszcze nie najwyższy. Posunęliśmy się o jeden stopień wzwyż nad człowieka zwykłego. Ale musimy posunąć się wyżej.

Są między nami istoty, które do tego jeszcze wyższego człowieka prowadzą. Ojcowie nasi uważali za drogę do stworzenia tego wyższego człowieka – ofiarę. Zazwyczaj ofiarą trzy razy w ciągu stulecia bywał ten, którego nazywano Słońcem. Gotowałem się więc dziś na ten święty obrząd, gdy oto zjawiała się u mnie niewiasta doskonała, której woli niezłomnej musiałem ustąpić. Ona chce się oddać bogom na ofiarę, ona chce swoją śmiercią dać świadectwo prawdzie, chce swoim czynom rozpocząć nowy okres naszej tęsknoty ku doskonałości. Jakkolwiek wolałbym, aby mnie raczej przypadł ten zaszczyt ofiary, nie wolno mi odmówić świętemu wezwaniu, które bogowie jej podsunęli. Idź więc, wybranko – i wyzwól swą istotność z ostatnich obsłon cielesnych, bo choć nasze ciało wiotkie jest jako sen i marzenie, ale jeszcze jest ciałem i więzieniem ducha. Niechaj twój duch, rozblękitniony odcieleśnieniem ostatecznym, płynie w wyżyny ku nieznannej górnej planecie, która będzie godna twojej osoby! Żegnaj i bądź błogosławiona!

To mówiąc, ozdobił jej głowę wieńcem z róż i lilii – i na nowo zabrzmiał hymn uroczysty.

Ten hymn był hasłem wyjścia ze świątyni. Obecni rozdzielili się na dwie fale, aby zrobić przejście Damajanti i Narajanie oraz ich orszakowi tak, jak u nas robi się przejście nowo zaślubionej parze. Damajanti istotnie wyglądała na istotę szczęśliwą, która od ołtarza ślubnego odchodzi. Była w

niej szczególna moc i majestat, spokój uśmiechnięty i zapatrzenie w tajemnicze zaświaty.

Całowali ją pożegnalnie Wiśwamitra, Wasiszta, ich żony, Ardżuna. Ja słańiałem się bezsilny; chciałem powstrzymać ofiarę, chciałem zacząć bluźnić i szydzić z tego szalonego obrzędu, ale kiedym spojrział na ten tłum, w jakimś nadprzyrodzonym upojeniu pogrążony – zamilkłem naraz i sam uległem temu nastrojowi.

Damajanti raz jeszcze mnie pocałowała i rzekła mi:
– Nie płacz po mnie. Jeszcze się zobaczymy.

Na chwilę mię to uspokoiło, ale zbyt silna była moja niewiara, aby to uspokojenie trwać mogło dłużej.

Tłum szedł ulicami, powoli stąpając za dwojgiem głównych osób tej uroczystości, to jest Narajaną i Damajanti. Koło Narajany byli trzej triumwiri – ministrowie – oraz ważniejsi przedstawiciele ich magistratur; koło Damajanti były dwadzieścia cztery najprzedniejsze niewiasty z Suriawastu, w sukniach czerwonych jak ogień. Tuż za nimi szła najbliższa rodzina ofiarnicy i między nimi ja półnieprzytomny. A za nimi tłum olbrzymi, prawie dwadzieścia tysięcy ludzi liczący. Szli – i na przemian to jedna, to druga grupa śpiewała pieśni odpowiednie z towarzyszeniem instrumentów muzycznych.

Blisko godzinę trwała droga, którą niegdyś przeleciałem w siedem minut. Byliśmy na polu Marsowym. Na środku pola stał dość wysoki stos z drzewa sandałowego, mający u boku rodzaj schodków. Tylko Narajana i Damajanti weszli na środek placu, gdzie koło stosu stało kilku ludzi, widocznie mających służbę przy tym obrzędzie. Była tam nadto w pobliżu grupa muzykantów i śpiewaków. I rodzina również została dopuszczoną do środka równiny, abyśmy mogli się z nią pożegnać.

Koło stosu było małe ognisko, a przy nim kilka pochodni. Znów dał się słyszeć śpiew i muzyka. Damajanti wzięła w rękę jedną z pochodni i podpaliła stos z jednej strony, a potem z drugiej. Po czym, uśmiechnięta i uszczęśliwiona – po schodkach wstąpiła na stos – i pocałunki nam posyłała ostatnie – pożegnalne. Oliwą przesycone drzewo sandałowe zaczęło płonąć żywo i gwałtownie, złotym płomieniem, który w blasku południa przechodził w odcień błękitno-różowy. Ofiara usiłowała stać na tej ruchomej płaszczyźnie, ale z wolna traciła równowagę. Jeszcze się uśmiechała, jeszcze posyłała nam pocałunki, i zawołała:

– Żegnajcie! Nowe rozpoczynam życie!

Płomienie ją ogarnęły w całości, runęła na czerwone od ognia polana; chwilowo jeszcze nogi jej drgały, ale w końcu leżała bezwładna i nieruchoma. I oto zdumienie moje przerosło wszystko, com widział dotychczas, choć mię i o tym uprzedzano. Ciało, które się tu paliło, nie był to bynajmniej astral nadmaterialny, ale zwyczajne ciało ludzkie, którego atomy gdzieś bujały w przestrzeni i w momencie, gdy astral wyzwolił się z więzów ziemi, ciało to raptownie znalazło się na swoim miejscu.

Oczy moje były bielmem materii zakryte i nie mogę stwierdzić, czy prawdą jest, co mi w pewnej chwili powiedziała Sakuntala, wskazując jakiś punkt na powietrzu.

– Patrz, oto dusza Damajanti leci w wyżyny! Widzisz ten błękitny obłok? To ona.

Wszyscy go widzieli tutaj, wszyscy wołali:

– Pozdrowiona bądź, Damajanti!

Ja nie widziałem nic – i przypuszczałem po prostu, że cała ta gromada ludzi ulega złudzeniu. A jednak zbyt wielka powaga była w ich słowach i nie wolno mi traktować jej fałszywie. Widać mają oni inne oczy.

Kiedy zwłoki spłonęły na popiół, odpowiedni urzędnicy zebrali popiół w urnę i oddali ją rodzinie.

Jednakże Narajana uznał za właściwe nie chować ofiarnicy na cmentarzu powszechnym, ale urnę z jej popiołami umieścić w świątyni Słońca.

Uważał bowiem jej czyn za zjawisko przełomowe w historii Suriawastu; jej dobrowolne męczeństwo podnosiło duchowość ludu Słonecznego o jeden stopień wyżej.

Było to dnia 12 września 1918 roku.

Nie sądźcie, że tylko my tu na miejscu widzieliśmy tę wielką uroczystość. Wieść o tej ofierze rozeszła się w jednej chwili po całym kraju, telepatycznie rozpowszechniona przez specjalnych heroldów – i również wszyscy, choć na różnych końcach republiki zamieszkali, całą tę uroczystość widzieli naocznie. Nie widzieli jej tylko zaprzańcy z doliny Gór Zielonych – ale wieść o tym doszła ich w jakiś czas później – i liczna młodzież, która dotąd żyła tam oderwana od praw miejscowych; zjawiała się nagle w stolicy, prosząc, aby ich dopuszczono do ceremonii odcieleśnienia.

Jednakże dla mnie pobyt na tej wyspie utracił wszelki powab. O tym tylko marzyłem, aby Suriawastu pożegnać i udać się gdzie bądź, choćby do Kalibanów.

Próżno mię nęcił Wasiszta, chcąc mi pokazać tutejsze szkoły, wytwórnice różnych obiektów potrzebnych do życia, gospodarstwo rolne, hodowlę bydła i tak dalej. Wiedziałem o tym pokrótce, ale już nie byłem tego ciekawy: i choć niejedno jeszcze wiem, nie będę wam o tym mówił. Przyszło mi do głowy, że często najidealniejsze zasady łączą się ze szczególnym okrucieństwem w czynie. Jakże można w tym świecie istot uduchowionych uwieczniać tradycję tak barbarzyńskiej ofiary! Nie, nie mogłem tu dłużej pozostać.

Noc miałem niespokojną – ukazała mi się w sennym widzeniu Lenora, jakby żegnając mię na wieki.

Prosiłem nazajutrz Wasiszte, aby mię przewiózł przez Kalibanę do jakiego portu. Muszę tu bowiem zaznaczyć, że ponieważ Słońcogród żadnego handlu nie prowadzi, gdyż sam sobie doskonale wystarcza, przeto nie ma zupełnie floty ani przystani. Wasiszta się zgodził na moje prośby – a mnie już roił się powrót do Europy, poszukiwanie Mirandy i nowe z nią seanse. Przyszło mi nawet do głowy, czy by nie dało się wykąpać zjawę fluidyczną Mirandy (to jest Lenorę) w Nirwidium płynnym; o ogniu już nie marzyłem. Wasiszta nie uważał tych życzeń za niemożliwe; owszem, bardzo gorliwie zajął się tą sprawą: dostarczył mi parę butelek Nirwidium, zaznaczając, że jedna szklanka wlana do zwykłej wanny z wodą bardzo gorącą poniekąd zastępuje ogień; analogiczna kąpiel zimna – służyć może do zahartowania widma.

Nadto dał mi puszkę pastylek żywnościowych, flaszkę wina diamentowego, różne klejnoty, materie odzieżowe itd. i nawet miecz nirwidialny. Wszystko to pomieściłem w bardzo poręcznej skrzynce z drzewa cedrowego, nader lekkiej; był to rodzaj sakwojażu. Rzecz prosta, że traktowałem te zbiory, jako skarb wyższy nad wszelką cenę i że ich pilnowałem jak oka w głowie.

Pożegnałem przyjaciół, których tu poznałem: rodzinę Wasiszty i Wiśwamitry, Ardżunę i kilka innych osób – i samochodem wyruszyłem w drogę. Wasiszta był moim przewodnikiem, a w powietrzu czterech młodych ludzi towarzyszyło nam z oddali, na wypadek, gdyby w Kalibanii zdarzyła się nam jaka przykrość.

Spłynąwszy na dół z wyżyny, na której leżała stolica wyspy, jechaliśmy dolinami hal sąsiednich i widzieliśmy po drodze gęste lasy oraz uprawne pola ryżu i pszenicy. Były też obszerne i bujne pastwiska, na których pały się liczne stada krów i owiec. Jechaliśmy bardzo prędko i nie mogłem się im dobrze przyjrzeć, ale przedtem już nieraz miałem sposobność

obserwować szczególne zachowanie się zwierząt, ich ruchy jakby pełne świadomości i rozumu; widziałem jak gromadziły się po kilka lub kilkanaście sztuk, rzekłbyś, wygłaszały coś miarowo lub rozmawiały ze sobą itd. Również dziwne było postępowanie psów, których tu, koło owiec i bydła, krążyło wiele; było w nich jakieś prześwietlenie i powaga nadzwierzęca. Jest rzeczą prawdopodobną, że zwierzęta, żyjąc tu w atmosferze przesyconej duchowością, same się poniekąd ucłowieczyły.

Przyszło mi do głowy, że można by ten sam eksperyment, jaki robiłem z Mirandą, zrobić ze zwierzęciem: psem czy owcą. Wiem, że takie próby były robione w Szwajcarii. Zwierzęta również wykazywały astral zaczątkowy. Nigdy jednak taka zjawia nie została doprowadzona do końca i oczywiście nie została utrwalona. Wiem tylko, że widma psów nie są białe, ale barwne. Jaką jednak mają postać: zwierzęcą czy też ludzką? Oto zagadka. Czy pod postacią zwierząt nie kryją się jakieś duchy ludzkie niższej kategorii? Dusze niedorozwinięte, grzeszne, wykoślawione, które w swej wędrówce pośmiertnej za wpływem karmy spadły do stanu zwierząt? Postanowiłem sobie zająć się tą sprawą w przyszłości.

Owe susznie, o których wspomniałem, były tu wszędzie, a jak mi rzecz wyjaśnił Wasiszta – w każdej z nich mieściła się mała maszyna nirwidialna, złączona z główną i kierowała energią wszystkich zjawisk, które były w jej służbie. Niekiedy trafiały się susznie znacznie większe, takie niemal jak w stolicy. Jakkolwiek byłem mocno zgnębiony, to jednak na życzenie Wasiszty zatrzymałem się w jednym miejscu, aby taką wytwórną zobaczyć.

Była to cegielnia; kilku techników, zajętych przy tej fabryce powitało nas i wprowadzono mię do środka. Był to mianowicie dość obszerny budynek, w którego podziemiach

znajdowała się owa maszyna nirwidialna, osłonięta jednakże całym szeregiem osłon z tegoż rogowego materiału, z którego tu różne rzeczy wyrabiano. Z podziemia wychodził wielki lej, którego część górna tylko była widoczna. Podłoga była ruchoma tak, że w pewnej określonej chwili przesuwała się, wnosząc materiał wytworzony do drugiej kamery. Kilku Słońcogrodzian siedziało w podziemiach i poruszało korbą, jak się domyślałem z regularnego odgłosu, który mię dochodził. Jednocześnie dach budynku szeroko odsłonięto i wkrótce z owego leja zaczęła wychodzić bladożółta para, od czasu do czasu sycząc już to słabiej, już mocniej – i ciemniała powoli, przechodząc w barwę *chamois*. Powietrze naokoło leja również ciemniało i, rzekłbyś, zlewało się z tą parą, a po kwadransie mieszanina pary powietrznej i nirwidialnej zaczynała gęstnieć i, po prostu mówiąc, z podziwu gębę otworzyłem: ta gęstniejąca masa, która powstała z *niczego*, opadała na podłogę i, jak z boku na podwyższeniu stojąc, mogłem zauważyć, układała się w pewien kształt geometryczny, zgodnie z formą tej części podłogi, która stanowiła *receptaculum* wyrobionej materii. Była to masa typu galarety; w ciągu jakiej godziny przepelniła ona całą przestrzeń owej podłogi ruchomej. W danej chwili ruch maszyny się zatrzymał; ściana boczna hali, w której byliśmy, podniosła się do góry – i podłoga przesunęła się do drugiej kamery. Tu pomieszczony był w powietrzu zwisły szereg długich ostrych rozcinaków, które naraz opadły na tę masę i pocięły ją na szereg równoległych sześciątów nierównobocznych; podobne noże boczne rozcięły tę masę w poprzek. Były to cegły. Wówczas maszyna podziemna zaczęła działać znowu: pod podłogą znajdował się połączony z nią rodzaj kaloryfera, który te cegły momentalnie doprowadzał do wysokiej temperatury, suszył i nadawał im trwałość niewzruszoną. Podłoga przesuwała się poza budynek na

otwarte pola: tu oblewano cegły wodą lodową za pomocą jakby sikawek. Na małych wózkach przewożono je na pole obok budynku: był to magazyn cegieł, których tu miałeś miliony. Gdy podłoga była opróżniona, wracała na swoje miejsce, a tymczasem z drugiej strony tegoż budynku wysuwała się inna podłoga z nowym zapasem materii budowlanej.

Jakkolwiek wszystkie dalsze stadia tej roboty dawały się jasno tłumaczyć, to jednak tajemnicą pozostanie dla mnie na zawsze początek tworzenia się tej materii. Byłem świadkiem tego cudu, ale nie jestem w stanie oznaczyć momentu, w którym nicość zmieniała się w ciało realne. Nicość, mówię, nie zaś powietrze, gdyż, jak mi to wyjaśnił jeden z techników – maszyna tworzy naprzód Nirwidium, to jest rozkłada materię (powietrze) na jej atomy czyli punkty geometryczne (inaczej mówiąc – nulla), a potem nadaje im formę dowolną. Każda z maszyn działa na wszystkie sposoby i może wszystko wytwarzać; zależy to od węgielnicy, która w ten lub inny sposób nastawia oddech maszyny. Zwykle jednak każda maszyna się specjalizuje tak lub inaczej; tu, gdzie byłem, wyrabiano wyłącznie cegły.

Póki miałem przed sobą to dziwne widowisko, byłem wielce nim zaabsorbowany. Z chwilą jednak kiedy musiałem pożegnać tę miejscowość i kiedy siadłem do wózka z powrotem, na nowo ogarnęła mię melancholia.

Zabawiłem tu blisko trzy godziny i kiedyśmy znowu ruszyli w drogę, już zaczynał się zmierzch. Krajobraz był przez dłuższy czas jednostajny: pola i lasy, gdy naraz znalazłem się w prześlicznym parku, pełnym najrozmaitszych barwnych drzew, kwietników wonnych i kolorowych, sadzawek srebrnych. Światełka płonęły między drzewami, a dokoła widziałeś altany bluszczem i winem obrośnięte i śliczne pałacyki. Dokoła słyhać było wzruszającą muzykę i

śpiewy rozdzwonione młodymi głosami. Widziałem też mnóstwo młodych par: chłopcy i dziewczęta krążyli tu po ogrodzie, a tak pięknie wyglądali, tak w ich postaci była widoczna miłość życia i rozpęd życiowy, tak tu wszystko dyszało radością, szczęściem, nadzieją, że zaczął wzdychać, jak człowiek, który zobaczył Eden i wie, że już do niego nie wejdzie. Istotnie ogród ten wydawał mi się Edenem. Wasiszta, jakby przeczuwał moją ciekawość, powiedział mi:

– To jest Radziwa. Tu młodzież nasza po wulkanizacji przebywa koło roku: każdy ze swoją kochanką. Życie zaś tak tu jest urządzone, że ci młodzi ludzie żadnej troski nie mają – i mogą się w pełni i bezwzględnie oddać jednej tylko sprawie, to jest miłości. Patrz, ten większy budynek tam, nieco w głębi ogrodu: świetny jak pałac bogów. To świątynia Miłości! Tu odprawiają się nabożeństwa, które celebrowają mistrze kapłani i mistrzyni kapłanki, najbardziej wtajemniczeni w arkania miłości. Oni tym młodzieńcom i pannom opowiadają misteria tej sprawy, która u nas uchodzi za jedną z najważniejszych i najpoważniejszych w życiu.

Pięknie by to było mieć dwadzieścia lat i żyć z jedną istotą umiłowaną w zaczarowanych ogrodach Radziwa! Ale młodość nie powraca.

Jechaliśmy dalej i zbliżaliśmy się do granicy. Postanowiliśmy nocować w jej pobliżu; zatrzymaliśmy się pod gołym niebem koło lasu figowego i ułożyliśmy się do snu na ziemi: trawa była świeżo skoszona i spaliśmy w odurzającym zapachu siana i kwiatów polnych.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę.

Spływaliliśmy wózkami coraz bardziej na równinę aż dotarliśmy do płaszczyzny mało co wyższej nad poziom morza, a wcale gładkiej. Odgłos trąb dał nam znać, żeśmy dojechali do granicy Republiki Słonecznej. Wasiszta mi powiedział:

– Jeżeli chcesz, możesz pojechać koleją żelazną, gdyż Anglicy zbudowali tu linię aż do portu Lokombo. Ale, że tu ludność jest dzika, więc możesz być, jako obcy, narażony na przykrości. Radziłbym ci więc, abyś lepiej ze mną pojechał, gdyż w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa ja i nasi czterej żołnierze przyjdziemy ci z odsieczą. Dowieziemy cię do samej przystani i dowiemy się, kiedy zawinie tam jakiś okręt angielski.

Posłuchałem ich rady i przejechałem kraj wózkiem wraz z nimi; był to istotnie kraj półdziki, pozbawiony gościńców, z rzadka jeno przepleciony uprawnymi polami. Ludność czarniawej cery, prawie naga, krążyła po drogach i lasach, oddana głównie polowaniu i hodowli bydła. Chaty miała nędzne, lepianki budowy okrągłej, poczerniałe od dymu. Od czasu do czasu spotykałeś wspaniałe pałace, widocznie budowane przez architektów europejskich; dokoła nich piękne parki, a tuż obok błoto, brud, gnojowiska. Były to rzeczywiście dworce tutejszych bogaczy, koło których gnieździła się ostatnia nędza. Taki tu był świat: niewola, łzy, rozpacz, głód, żebractwo, obok najwytworniejszych zbytków i rozkoszy. Uważałbym za rzecz zupełnie sprawiedliwą, gdyby Słońcogrodzianie tę barbarię podbili i tych dzikusów podnieśli choć na taki poziom, jaki w Suriawastu osiągnęły psy i krowy.

Zachowanie się czarnych w stosunku do nas było niezbyt przyjazne, ale dość pokorne, gdyż pamiętali wciąż, jak ich nasza armia niedawno doprowadziła do zagłady, a wielu jeszcze dotychczas leży we śnie beczynnym.

Anglicy tu przyjeżdżają kupować korzenie, jak pieprz, cynamon, muszkat, imbir, a również perły, które łowią mieszkańcy nadbrzeżni. Dlatego pobudowali koleje i nieraz do Lokombo docierają.

Był tu właśnie statek, jadący do Suez. Nie była to droga bardzo bezpieczna, ale jak najprędzej chciałem

dopłynąć możliwie blisko Europy. Rozmówiłem się z kapitanem „Leukotei” i, w braku pieniędzy, zapłaciłem mu łańcuchem złotym, który otrzymałem od Wasiszty.

Okręt odpływał jutro rano o świcie. Dziękowałem swemu gospodarzowi za gościnę i czterem żołnierzom za gotowość pomocy. Wziąłem swoją cenną skrzynkę i wniosłem ją na okręt, gdzie prosiłem o pomieszczenie w bagażach za pokwitowaniem. Moi przyjaciele odlecieli, przy czym Wasiszta linkę dość długą przywiązał do samochodu i tak lecąc powietrzem, ciągnął go za sobą. Samochód leciał jak wicher, aż Czarni w przerażeniu uciekali.

Za inny jakiś klejnot jeden z podróżnych dał mi sumę dość znaczną, tak, że mogłem z nią dojechać do Europy.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy w drogę.

XII

Dawno nie czytałem dzienników, gdyż w Suriawastu żadnych czasopism nie ma. Mimo to mieszkańcy wyspy zawsze są o wszystkim dokładnie poinformowani, gdyż telegraficznie wszystkie wieści do nich ze świata dochodzą. Tylko nazwy ludów są dla nich obojętne, gdyż widzą wszystko w uogólnieniu. Wojna, która się toczyła w Europie, była dla nich jak wszystkie wojny – walką braci Pandawa z braćmi Kaurawa. Gdyż każda wojna jest dla nich Mahabharatą, a każde pole bitwy – to wiecznie ta sama Kurukszeta.

Sprawy, które widziałem na wyspie Taprobane, tak mię przejęły, że po prostu wojna przestała mnie interesować. Teraz dopiero od podróży naszego statku „Leukotea” dowiedziałem się, że Niemcy zostali pobici; że rewolucja rosyjska przybierała charakter coraz bardziej niedorzeczny; że Polska uzyskała byt niezależny itd.

Słowem wracałem do Europy, z jakiejś dalekiej planety, gdzie te sprawy traktowane były jako pozory i zjawiska o znaczeniu wewnętrznym, różnym od zewnętrznego. Jednakże jako Europejczyk zacząłem się cieszyć z jednych okoliczności, smucić – innymi, obawiać się trzecich. Człowiek pozaczasowy zmieniał się w mojej duszy na człowieka historycznego, człowieka danej chwili.

Na statku naszym ludzie byli tak rozmaicie ukostiumowani – po indyjsku, po arabsku, po egipsku, po angielsku – że i mój kostium nie robił wrażenia dziwactwa.

Gdyśmy jednak dojechali do Suez, uważałem za stosowne nabyć ubranie angielskie, a swoją chlamidę słońcogrodzką złożyć do skrzynki cedrowej, dodając ją do innych skarbów Wasiszty. I samą skrzynkę pomieściłem w zwykłej walizie skórzanej.

Wraz ze zdjęciem dawnej szaty odpłynęła ze mnie reszta fluidu owych dusz, z którymi przeżyłem tak wyjątkowe rzeczy. Zająłem się polityką, a choć w gazetach angielskich mało było informacji o Polsce, to jednak jakieś mętne i niewyraźne wiadomości miałem o tym, co się dzieje w kraju.

W Suezie musieliśmy się parę dni zatrzymać. W najbliższy czwartek wyjeżdżał do Brindisi i do Marsylii statek „Tranquillity” i mieliśmy wpłynąć na najniebezpieczniejsze z mórz – Morze Śródziemne.

Jakkolwiek akcja wyławiania min podwodnych szła bardzo żywo, to jednakże niejedna jeszcze mina krążyła pod wodą, grożąc każdemu statkowi zagładą.

Toteż nie dziw, że publiczność na statku, tym razem prawie wyłącznie europejska, była pełna trwogi i lada chwila oczekiwała katastrofy.

Szczęśliwie jednak obawy nasze okazały się płonne. Do Brindisi dopłynęliśmy bezpiecznie – a po dwóch dniach wyruszyliśmy dalej do Marsylii. Zamiarem moim było pojechać do Paryża.

Wkrótce znalazłem się w Paryżu. Przyzwyczajenie z czasów studenckich skierowało mnie do dzielnicy łacińskiej. Zamieszkałem w małym hotelu przy ulicy Gay-Lussac.

W kawiarni Panteonu spotkałem kilku znajomych; byli to po większej części lekarze wojskowi, którzy wstąpili na służbę francuską.

Dowiedziałem się od nich, że jest tu obecnie w Paryżu Henryk Nawara, który w roku 1914 wstąpił do wojska francuskiego i ranny w bitwie pod Marną, zmuszony był

poddać się amputacji nogi; jako inwalida mieszka obecnie przy bulwarze Montparnasse.

Henryk Nawara był dla mnie osobą nadzwyczaj cenną. Jakkolwiek był on znacznie starszy ode mnie, to jednak ja dawnymi czasy zostałem dopuszczony przez niego do towarzystwa pewnej grupy młodzieży, która przybrała imię Fulminatów.

Henryk był synem Władysława N., oficera wojsk francuskich, który brał znaczny udział w powstaniu 1863 roku i został zesłany na Sybir. Jednakże udało mu się uciec z katorgi i przez Amerykę dotrzeć do Francji. Było to w roku 1870, właśnie w chwili, gdy rozpoczynała się wojna francusko-pruska. Ojciec Henryka wstąpił do armii francuskiej i w wielu bitwach odznaczył się męstwem i przytomnością umysłu.

Po ukończeniu wojny ożenił się z pewną osobą, która świeżo z Warszawy przyjechała – i było to przez parę lat bardzo szczęśliwe małżeństwo. Owocem tego małżeństwa był Henryk.

Niestety, matka Henryka, przeziębivszy się niebezpiecznie, bardzo prędko zmarła na zapalenie płuc, a wkrótce też i ojciec poszedł za nią. Henryk został sierotą. Krewni wywieźli go do Warszawy, a później do Podobłocza, gdzie w naszym domu się wychowywał.

Jak z tego widać, Henryk, w momencie gdy się zaczynała wojna, nie był już pierwszej młodości. Liczył prawie lat pięćdziesiąt. Nie bacząc na swój wiek, poszedł na front i obecnie, jako człowiek o jednej nodze, znajdował się w stanie spoczynku.

Jeżeli tu dłużej zastanawiam się nad osobą Henryka, to dlatego, że był on najbliższym przyjacielem i głównym powiernikiem Paracelsa Nirwida; miał też zapewne wiadomości o jego wynalazku.

Dlatego zaraz po południu udałem się na Montparnasse, aby się z Henrykiem Nawarą zobaczyć. Był jeszcze bardzo przystojny, ale nieco wyłysiał i osiwiał. Brak jednej nogi był mu bardzo niedogodny, gdyż jeszcze nie przywykł do tej przemiany. Jednakże swoje kalectwo znosił nie bez humoru.

Nikommu dotychczas ani na okręcie, ani w Paryżu nie mówiłem o swoim pobycie w Słońcogrodzie. Henrykowi jednak powiedziałem – i zwłaszcza podkreśliłem rolę Nirwidium w całej tej historii. Zapytałem go więc, czy mu czego nie wiadomo o Nirwidium i czy nie byłoby możliwe w jakiś sposób doświadczenia te powtórzyć.

Henryk wyjął z biurka tekę, a z niej stary numer „Matina” z roku 1912 i dał mi do przeczytania urywek, zakreślony czerwonym ołówkiem, pod tytułem *La mort extraordinaire d'un savant russe*. Czytałem głośno.

„Na bulwarze Edgar Quinet d. wczorajszego zginął śmiercią tajemniczą dziwaczny (*extravagant*) uczony rosyjski (sic!), Paracels Nirwid, osobistość nie mniej tajemnicza. Jego herezje naukowe przed paru laty wywołały niemałą wrzawę w świecie akademickim. Jego pracownia, mały osobny domek przy oznaczonym bulwarze, a z której podobno nasz uczony nigdy nie wychodził, spłonęła do szczytu w sposób szczególny, którego dotychczas ani policja, ani uczeni nie byli w stanie wytłumaczyć. Koło godziny drugiej po północy przechodnie widzieli cały jego dom, od góry do dołu, rozplamiony piękną barwą czerwoną, rzekłbyś, w ogniu bengalskim. Znając ekscentryczne obyczaje tajemniczego człowieka, sąsiedzi przypuszczali, że odbywa się u niego jaka uroczystość. Koło godziny czwartej domek zatracił czerwoność i w każdym swoim punkcie stał się biały; naprzód świecący jak słońce październikowe o godzinie drugiej po południu, potem zaś naraz w proch się rozsypał, jakby spalony nie już zewnątrz, ale w samej treści swoich cegieł i belek, a

koło siódmej proch niby wsiąknął w powietrze, rozwiął się we mgle i znikł bez śladu, jakby wyparował. Niewielkie szczątki tylko pozostały. Na miejscu domku o godzinie ósmej ukazała się głucha i pusta równina. Ponieważ koło domu zaczęły się palić trawy i pożar (gdyż inaczej tego zjawiska nazwać nie podobna) mógł się rozszerzyć na posesje sąsiednie; wezwano straż ogniową, która z trudem umiejscowiła i opanowała zniszczenie. Rzecz godna uwagi: zalew wody pochłonął niejako i wsiąknął w siebie ostatnie ślady pozostałe po budynku. Wraz z tym zniknięciem domu zniknęło doszczętnie i ciało Paracelsa Nirwida oraz wszystkie osobliwe maszyny i narzędzia, wynalezione przez niego, a których sekretu Nirwid nie wyjawiał dotychczas nikomu. Jego zwolennicy (których zmarły posiadał tyluż co i przeciwników) są zrozpaczeni; mówią oni, że od czasów Apoloniusza z Tiany nie było na świecie tak potężnego mędrca, takiego władcy w krainie ducha i materii jak Nirwid. Utrata owego tajemniczego pierwiastku, który nazwano Nirwidium, ma być rzekomo niepowetowaną klęską dla ludzkości. Tajemnica ta, która miała być kluczem do wszystkich tajemnic, wraz z Nirwidem schodzi do grobu”.

Gdym czytał tę ironiczną notatkę, Nawara nie mógł się od łez powstrzymać. Wyznał mi, że pół roku po tej katastrofie przepędził w domu obłąkanych; istotnie przypominam sobie, że na pewien czas przepadł bez wieści.

– Nie masz pojęcia – mówi mi – ilu nieszczęść uniknąłby świat, gdyby Nirwid nie był zginął i gdybyśmy jego wynalazek poznali. Co się mnie tyczy, to ja na jego niektórych narzędziach oparłem pewną myśl najwyższej wagi. Ty wiesz, że ja nigdy nie wymawiałem tego wyrazu: Polska. Taką sobie klątwę składała *Legio fulminata*. Ale zgodnie z jej nakazem myślałem o niej zawsze i nieustannie. Widziałem ją w takich barwach, w jakie ją przystroiły natchnienia wieszczów

jasnowidzących. Jednakże od dawna już przeciw tym jasnowidzącym wystąpiły „ślepe mazury”, a jak obawiać się należało – ci ślepcy mogli zwyciężyć jasnowidzów. Nie o to zresztą chodzi w danej chwili. Nirwid zbudował oręż bardzo podobny do tych mieczów, o których mi mówiłeś: paraliżował on na długi przeciąg czasu nieprzyjaciela, nie zabijając go jednakże. Był nieomylny i działał na setki ludzi jednorazowo. Przy tym Nirwid zbudował dla armii, zbrojnej jego mieczem, pancerze ochronne: żołnierz nirwidowski był *invulnérable*. Nikt mi nie może z tego uczynić zarzutu, że mając dostęp do takich środków, myślałem o jednej tylko rzeczy: o niepodległości Polski. Przygotowałem cały plan, niemal wyznaczyłem dzień. Miało to się rozpocząć w sierpniu 1914 roku. Byłaby to wojna potężna, owocna i bezkrwawa. Gdybym miał pięćdziesiąt tysięcy takich mieczów – byłbym panem świata. Dodam, że Nirwid stworzył jakiś ekstrakt skondensowanego białka, który miał stanowić o przeżywaniu ludzi, a umiał też przetwarzać elementa chemiczne jedne w drugie: wszystko to więc wprowadziłem do swego rachunku. Chciałem za pomocą tych wszystkich środków rozwiązać różne zagadnienia polityczne i socjalne, nie naruszając równowagi dusz i stosunków. Nadeszła wojna, ale jej inicjatywa wyszła z innej strony i charakter tej wojny był po prostu szatański. Wynik tej zawieruchy był częściowo zgodny z ideą główną Fulminatów, ale teraz zarówno w Polsce, jak i na całym świecie nastąpi okres długotrwałego chaosu pod względem gospodarczym, psychicznym, moralnym i nerwowym. Mogę śmiało powiedzieć, że chociaż Nirwida mało interesowała sprawa praktyczna jego techniki – to jednak godził się ze mną, że można przy pomocy tych wynalazków stworzyć nowy typ wojny. Ale przeciw nam stało Fatum.

– Jakże jednak to Nirwidium wyglądało! Jak wyglądała maszyna! Jak operowała?

– Na to nie mogę ci żadną miarą odpowiedzieć. Z tego Nirwid robił absolutną tajemnicę. Chciał maszynę przede wszystkim tak udoskonalić, aby wszelkie płynące z niej niebezpieczeństwa usunąć. Dlatego osłaniał ją jakimś czarnym pudłem, w którym zawsze była ukryta. Widziałeś tylko otwór.

– I cóż spowodowało katastrofę?

– Trudno powiedzieć, nie znając sekretu. Niejeden wynalazca zmarł od swego wynalazku. Natura mści się za wydzieranie jej tajemnic. Od gniewu Artemidy giną Akteony.

– Czy Nirwid nie zostawił jakich dzieł, rękopisów?

– Rękopisy, o ile były, zapewne znikły razem z domem i ze wszystkim. Dzieło jedno wydał kiedyś we Lwowie nakładem księgarni Allebeyde i Lump pod tytułem *O odwracalności zjawisk ducha i materii*. Są tam pewne aluzje do tego odkrycia, jakie miał wykonać, ale jeszcze nie wykonał. Zasadnicza myśl książki jest ta, że materia to duch skroplony, a w końcu skamieniały; że ta materia jest to wielorakie przeobrażenie jednego i tegoż samego pierwiastka; że pierwiastek ten w esencji swej jest to punkt matematyczny, niematerialny; że ta istota niematerialna a zmaterIALIZEDOWANA dąży do dematerializacji i do przetworzenia się w istotę duchową; że zatem rozwój i bytu polega na ciągłym odwracaniu się i przetwarzaniu ducha w materię i materii w ducha – i w ostateczności cały świat (gwiazdy, planety, słońca) przetworzą się w istoty duchowe i boskie. To jest *repetitio principii*. Rozumiesz, że się na niego wszystkie akademie rzuciły, jak na bestię szkarłatną.

– Tam, w Słońcogrodzie, mówią coś podobnego. Świat materialny zmienia się w astral. A samo to zniszczenie domu Nirwida przypomina mi widowisko, jakie tam odgrywało się na Polu Marsowym w czasie próbnej wojny. Tam na proch zburzono sztuczną fortecę kamienną. Było to zapewne trzecie i najmocniejsze uderzenie wielkiej misericordii.

– Szczególna jednak rzecz, że i twoi mieszkańcy Republiki Słonecznej również tak zazdrośnie ukrywają swoje Nirwidium.

– Wynika to stąd, że gdyby się to odkrycie dostało w ręce niepowołanych jednostek, to by mogły z tego powstać groźne nadużycia. Rzecz bowiem jasna, że niejeden mógłby tę siłę wyzyskać *in deteriore parte*. To jest główny powód, dla którego nie chcą oni swego odkrycia pokazać Europejczykom, gdyż uważają ich za najdrapieżniejszy gatunek ludzki na ziemi. Czy my kiedykolwiek podniesiemy się na wyższy stopień, o tym oni bardzo wątpią. Owszem podług ich opinii ludzie północni są uparci i wytrwali tylko w złym – i cała ich nauka ma na celu przede wszystkim zaspokojenie egoizmów własnych i zniszczenie cudzych. Nirwidium – jest to najwyższe dobrodziejstwo, jakie wywołał do bytu duch ludzki. Ale, gdyby się ono dostało w ręce ludzi złych, dałoby wyniki fatalne i zgubne.

– Może i mają rację! Ostatecznie, gdyby Europa miała wojować przy pomocy oręża nirwidialnego, to zapewne świat zmieniłaby w pustynię.

– Czy też Nirwid myślał kiedy o wojnie i o zastosowaniu swego wynalazku do wojny?

– Owszem, on tę wojnę niejako przewidywał, ale specjalnie o niej nie myślał; jednakże myślał o tym, aby Nirwidium było dobre do wszystkiego.

– Na przykład do latania po powietrzu?

– Owszem. Zrobił on jakiś rodzaj szczególnego kostiumu, obejmującego całe ciało, i ten kostium włożywszy na nagie ciało w mojej obecności, po pokoju, pewnego razu, latał w górę i krążył po suficie.

– I to wszystko przepadło?

– Niestety! Ile razy o tym pomyślę – serce mi się kraje. Powiem ci, że ja już na dziesięć, na piętnaście lat przed

rokiem 1914 skórą i nerwami przeczuwałem, że jakieś wielkie zdarzenie się zbliża i gdy Nirwid zrobił swoje odkrycie, chciałem sam to wielkie zdarzenie wywołać, aby się to rozpoczęło właśnie w Polsce. W moim planie – gdyż ułożyłem cały plan tej wojny – inny miał być charakter wypadków i rezultat odmienny. Nie ma zresztą o czym mówić, gdyż dziś cały mój pomysł wygląda na urojenie. Rzeczywistość ma tę wyższość nad wszelkim urojeniem, że jest rzeczywistością. Stały się niewątpliwie cuda na świecie, ale sądzę, że ludzie nie są godni cudów i dlatego za każdy cud trzeba płacić ogromnym morzem nowych i nieoczekiwanych cierpień.

Opowiedział mi też wiele nowin z kraju, które śledził uważnie i był bardzo pesymistycznie usposobiony: lękał się przede wszystkim zwycięstwa „ślepych mazurów”. Ale to już nie należy do rzeczy, dlatego nie będę o tym wspominał.

Henryk był ciekawy tych pamiątek, jakie sobie przywiozłem z Taprobane. Poprosiłem go więc do siebie, do hotelu.

Pojechaliśmy dorożką, gdyż Henrykowi dość trudno jeszcze było chodzić i pokazałem mu kolejno suknię, którą nosiłem na sobie i materię, którą mi dano, a którą zamierzałem ofiarować kobietom z mojej rodziny.

Dalej pokazałem mu różne klejnoty w złoto oprawne, i flaszkę wina diamentowego, i słoik pastylek odżywczych.

Dałem mu jedną pastylkę do zjedzenia i stwierdził, że są bardzo podobne do tych, które robił Nirwid.

Kropla wina, zresztą zmieszana z kieliszkiem dobrego burgunda, smakowała mu jako trunek boski – prawdziwa ambrozja. Znalazłszy jakąś pustą flaszkę w swoim pokoju, wlałem mu trochę tego wina, a nadto ofiarowałem mu parę pastylek.

Pokazałem mu również swoją misericordię; pocałował ją wzruszony, był to miecz jakby Nirwida. Najbardziej go zainteresowały butelki, zawierające wodę nirwidialną.

Żał mi było, że przybyłem z tą wodą nieco za późno dla Henryka, woda ta bowiem ma, dla organizmu ludzkiego, a nawet dla astralów (choć te prawie nie podlegają chorobom, chyba w stanie grzechu) nadzwyczajne własności lecznicze.

Jest przeciwnilną, naczyniotwórczą, ożywiającą; cząstki ciała zgruchotane, rozproszone, poranione – gromadzi, wyrównywa, scala i leczy. Niewątpliwie ochroniłbym go od konieczności amputacji nogi.

Było po siódmej wieczorem, ale, po zjedzeniu tej cudownej pastylki, nie mieliśmy apetytu, aby iść na obiad.

Poszliśmy do kawiarni „Closierie de Lilas” koło obserwatorium, gdzie trafiliśmy na wielu znajomych, po większej części wojskowych; niektórzy nawet byli z grupy Fulminatów.

Zdumieni byli dziarskim wyglądem Henryka, widząc, jak zwinnie chodzi na swojej sztucznej nodze. Nie wiedzieli, że to chleb i wino z Republiki Słonecznej działa w taki sposób.

Z górą tydzień spędziłem w Paryżu, zawsze czarującym, zawsze pełnym geniuszu twórczego. Tęskniłem jednak do Warszawy; chciałem zobaczyć rodzinę, chciałem się przyjrzeć nowym stosunkom powojennym, chciałem wreszcie zająć się poszukiwaniem Mirandy.

Zwróciłem się do mediumistów i okultystów paryskich; pisałem również do Londynu. Ale paryżanie nie znali zupełnie jej imienia (co zresztą okazało się później nieporozumieniem, gdyż znana tu była pod innym przezwiskiem), choć media takie jak ona, to jest dematerializujące się przy materializacji widma, były im wiadome i nieraz tego rodzaju doświadczenia robiono tu w Paryżu. Taką na przykład była M-lle Espérance,

Greczynka Aspropotamo, Angielka Daisy Henderson, Murzyn z wyspy San Domingo, Hannibal Cezar Napoleon de Bourbon de Bonaparte i rosyjskie medium Czajpopiwaj Samowarow.

Z Londynu odpisano mi natychmiast, że się tą sprawą zajmą i zawiadomią, skoro tylko ich dojdzie jakakolwiek cenna informacja. Uprzedziłem ich, że wyjeżdżam niedługo do Warszawy i skoro tylko stanę na miejscu, natychmiast prześlę im adres.

Dzięki pomocy Henryka i paru innych osób otrzymałem przejazd w wagonie dyplomatycznym i po paru dniach dojechałem do nowej granicy Rzeczypospolitej Polskiej. Rozumiecie, z jakim wzruszeniem powitałem po tylu latach kraj rodzinny, zwłaszcza wobec zmian, jakie w nim niespodzianie poczyniła Opatrzność.

W Zbąszyniu przenieśliem się z dyplomatycznego wagonu do zwyczajnego, co się okazało wielkim błędem. Pomijając bowiem, że zmieniłem wspaniałą karocę na jakiś po Austriakach pozostały zdezelowany furgon, inna jeszcze z tego wynikła bardzo przykra dla mnie historia.

Zrobiłem tę zamianę po prostu dlatego, że chciałem się zetknąć z tym nowym człowiekiem, jakiego oczekiwałem w kraju po tak gwałtownym i wyjątkowym przewrocie.

Istotnie, bardzo ciekawe rzeczy widziałem tu dokoła, ale nie mam zamiaru tych wrażeń wam opowiadać, gdyż wy to lepiej znacie ode mnie.

Natomiast muszę wam powiedzieć, co za przykrość mię dotknęła.

Ponieważ zmieniłem pociąg, odebrałem z bagażu swoją walizę i dałem ją na bagaż za moim nowym biletem. Było to na granicy prusko-polskiej, kwit mi wydano i spokojnie siadłem do wagonu.

Nazajutrz rano byłem w Warszawie. Poszedłem natychmiast po odbiór swej skrzynki. Tragarz zaczął jej szukać; szukał kwadrans, pół godziny, godzinę; nie znalazł.

Zarządzający upewnił mię, że znajdą. Byłem jeszcze po południu, by się o rzeczy dowiedzieć – i znów nie ma rezultatu.

Poszedłem nazajutrz rano i jeszcze dziesięć razy: wszystko na próżno.

Zresztą bardzo uprzejmie skargę moją zapisali – i pan naczelnik obiecał mi, że uczyni wszystko, „co będzie w jego mocy”. W danym razie gotowi mi są wypłacić indemnizację w sumie na przykład 10 000 marek. Ale ja nie żądałem indemnizacji, tylko swojej skrzynki, w której były skarby nieocenione.

Dziesięć dni już mija, odkąd wróciłem do Warszawy. Byłem nawet powtórnie na granicy, przypuszczając, że może moja skrzynka tam pozostała, ale okazało się, że ją wysłano prawidłowo; jeżeli więc się zawieruszyła, to na pewno w Warszawie, nie gdzie indziej.

Tak więc nagle znalazłem się bez tych tak drogich mi pamiątek, których przez cały czas swojej wyprawy strzegłem jak oka w głowie. Co będzie dalej – nie wiem, czekam wiadomości od zarządu kolei żelaznych.

* * *

Na tym skończył swą historię Jan Podobłoczny. Nie chciałem tego opowiadania, które się długo w noc ciągnęło, przerywać uwagami słuchaczy. Oczywiście bowiem ciągle mu zadawaliśmy rozmaite pytania, wyrażaliśmy swoje opinie, niektórzy nawet podejrzewali prawdziwość tej trudnej do skontrolowania wyprawy na nieznaną wyspę. Z drugiej strony,

historia Damajanti nie ze wszystkim podobała się pani Zofii Podobłocznej, która, milcząc, od czasu do czasu groziła mężowi paluszkami. Ponieważ jest to osoba bardzo dyskretna, nie chciała robić skandalu publicznego – i sędzę, że dopiero w domu scenę mu zrobi, choć nie tracę nadziei, że Jan się wytłumaczy i uzyska przebaczenie.

Dwie rzeczy teraz pozostawały Janowi: po pierwsze oczekiwanie na wieść co do Mirandy, po wtóre – oczekiwanie na śledztwo zarządu kolei żelaznych w sprawie zaginionej skrzynki.

W ciągu sześciu tygodni Jan Podobłoczny otrzymał wiadomości.

Niestety, obie były bardzo smutne.

Zarząd kolei żelaznych stwierdził z żalem, że skrzynka, oznaczona numerem 5314, jak to świadczy dokument 6789 lit. A ad 238 ad 1753, omyłkowo została wysłana do Rosji na linię Kijów – Charków – Orenburg; że dnia takiego a takiego miał miejsce napad na pociąg, przy czym nie wiadomo, czy to była akcja rządowa czy bandycka, gdyż w Rosji rozróżnić tego niepodobna; że podróżni w trzech czwartych zostali zabici, a bagaż cały rozgrabiony i zniszczony; że czy skrzynka Nr 5314 została zagrabioną, czy też zniszczoną, o tym zarząd kolei wiadomości nie ma, ale skoro tylko poweźmie o tym informacje, natychmiast adresatowi doniesie. Ponieważ nie ma nadziei, aby skrzynka mogła zostać odzyskaną z powrotem, zarząd k. ż. proponuje adresatowi indemnizację w sumie 10 000 marek.

W sprawie Mirandy, Instytut Badań Mediumicznych i Teozoficznych w Londynie zawiadomił Jana Podobłoczego, że Ketty Douglas, znana w Anglii pod nazwą Mirandy, a we Francji pod nazwą Georgine, została w roku 1915 aresztowana przez Niemców w Warszawie i wywieziona do Minnenburga, małego miasteczka w Turyngii. Ponieważ tam nieraz ją

wzywano do wróżenia, początkowo w sprawach prywatnych, a później nawet w kwestiach politycznych i strategicznych i ponieważ Miranda w tych ostatnich jasnowidzeniach wygłaszała Niemcom horoskopy nader złowieszcze, zabronili jej wróżbiarstwem się zajmować i wtrącili ją na wszelki przypadek do więzienia, gdzie przebywała do połowy roku 1918; tu rozchorowała się ciężko i umarła dnia 12 września tegoż roku koło godziny pierwszej w południe.

Był to ten sam dzień i ta sama godzina, w której spłonęła na stosie Damajanti.

Antoni Lange
Miranda

Redakcja: *Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-298-2, Festina 2014

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl